CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 15.X.1967 Nr 19 (376) R. XXXIV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Start do roku kulturalnego

JERZY DOSTATNI

MIELIŚMY już poza sobą posiedzenie kolegium Wydziału, na którym znalazłem się zupełnie przypadkowo, a także dłuższą rozmowę w cztery oczy, i schodziliśmy właśnie do samochodu, aby obejrzeć aktualny stan restaurowanej Rotundy — gdy na korytarzu do towarzyszącego mi kierownika połączonych wydziałów kultury prezydiów PRN i MRN w Zamościu, Stefana Ćwika, podeszło energicznie czterech ludzi:

— My w sprawie tego domu kultury w Krasnobrodzie...

Naczelnik spojrzał boleściwie i zawróciliśmy do jego gabinetu. W imieniu przybyłych miał mówić jeden, ale sprawa tak wszystkich drażniła, że głos zabierali wszyscy, nie wyłączając i mnie. W tymże Krasnobrodzie zaczęto prace przy budowie Wiejskiego Domu Kultury, który uzupełni listę bodaj 70 obiektów kulturalnych, budowanych w powiecie zamojskim w okresie ostatnich 7 lat. Rodzi się zaś w ciężkich bólach, które zresztą dopiero się zaczęły, chociaż jeszcze nie zdążono położyć fundamentów.

Rzecz w tym, kto po wybudowaniu tego domu ma być jego właścicielem czy gospodarzem. Pieniądze na budowę w trzech czwartych daje kasa państwowa, resztę — miejscowa ochotnicza straż pożarna. Czteroosobowa delegacja straży przyjechała niemal z ultimatum: jeżeli połowa nowego budynku nie będzie należała do nas, nie damy naszego wkładu. A w ogóle Komenda Powiatowa OSP dała kiedyś na budowę starej remizy strażackiej (którą teraz sprzedaje się, aby zdobyć owe pół miliona) 80 tysięcy złotych i w nowym Wiejskim Domu Kultury chce urządzić własny ośrodek szkoleniowy, więc chyba trzeba będzie jakieś pomieszczenie zamienić na kwatery...

Gdybym był kierownikiem personalnym jakiegoś dużego przedsiębiorstwa czy instytucji, wysyłałbym naczelnika Ćwika na wszystkie konferencje, gdzie można dużo wygrać dyplomacją. W ciągu kilku minut zdołał niemal całkowicie przekonać przybyłych, że utrzymanie chociażby części WDK wielokrotnie przekracza możliwości finansowe nie tylko krasnobrodzkiej straży pożarnej, ale i całej Komendy Powiatowej OSP... Że 38 członków straży to tylko drobna część 1 500 mieszkańców Krasnobrodu... I na końcu zaproponował umowę, która nie tylko w pełni pokrywała, ale nawet przekraczała potrzeby lokalowe OSP (z wyjątkiem owych kwater, które trzeba będzie znaleźć w domach prywatnych), pozostawiając budynek w zarządzie GRN. Delegacja szybko zrejterowała, zasłaniając się koniecznością zwołania walnego zebrania członków straży pożarnej.

Sprawa nie jest jeszcze załatwiona, ale całkiem niespodziewanie stała się znakomitą ilustracją trudności, o jakich mówiliśmy nie tylko w Zamościu, ale i kilka dni wcześniej z zastępcą kierownika Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie, Stanisławem Weremczukiem. Obie rozmowy odbyły się tuż przed oficjalnym rozpoczęciem wojewódzkiego roku kulturalnego 1967/68, co nastąpi 14 października właśnie w Zamościu.

Przed dwoma laty nazywało się to jeszcze rokiem oświatowym, w zeszłym już kulturalno-oświatowym, teraz jedynie kulturalnym. Różnica jest nie tylko w nomenklaturze, ale i w treści, chociaż wiele form i kierunków działania przetrwa zarówno te jak i następne określenia.

W Wydziale Kultury Prezydium WRN mówiono mi: w pracy tegorocznej główny nacisk kładziemy na gromadę. Jeżeli decentralizacja

(Dokończenie na str. 3)

ZE WSPOMNIEŃ MARSZAŁKA ZSRR IWANA KONIEWA

Nazwisko marszałka ZSRR Iwana Koniewa, dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego, jest nierozłącznie związane z historią II wojny światowej. W jej końcowej fazie dowodził 1 Frontem Ukraińskim, którego wojska uwolniły południową część Polski, brały udział w zdobyciu Berlina oraz oswobodzeniu Pragi. W latach 1946—50 marszałek Koniew był głównodowodzącym wojsk lądowych i zastępcą ministra obrony ZSRR, w latach 1956—61 dowódcą Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego oraz I zastępcą ministra obrony ZSRR, następnie głównodowodzącym grupy wojsk radzieckich stacjonujących w NRD. Obecnie ma lat 70.

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej przygotowuje wydanie książki (prawdopodobnie luty 1968 r.), zawierającej wspomnienia marszałka Koniewa z okresu od rozpoczęcia ofensywy z przyczółka sandomierskiego do zakończenia wojny. W Związku Radzieckim tytuł książki brzmi „Czterdziesty piąty". Dzięki uprzejmości Wydawnictwa MON mamy możność wcześniejszego przedstawienia naszym czytelnikom szeregu fragmentów tych wspomnień. Zaczynamy od walk pod Sandomierzem i Kielcami oraz oswobodzenia Krakowa. Tłumaczył Czesław Waluk.

Tytuły poszczególnych odcinków pochodzą od redakcji.

Przełamanie nad Wisłą

DWUNASTEGO stycznia 1945 r. wojska I Frontu Ukraińskiego, którymi miałem zaszczyt dowodzić, przystąpiły do przeprowadzenia strategicznej operacji zaczepnej — operacji wiślańsko-odrzańskiej. W tej olbrzymiej operacji ramię w ramię z nami działał 1 Front Białoruski, dowodzony przez marszałka G. K. Żukowa. Wspominając te czasy, będę mówił przede wszystkim o tym, co znajdowało się bezpośrednio w polu mojego widzenia, to znaczy o działaniach 1 Frontu Ukraińskiego. (...)

Przede wszystkim musieliśmy stworzyć silne zgrupowanie uderzeniowe na zachodnim brzegu Wisły, na tak zwanym przyczółku sandomierskim. Zgodnie z planem z tego właśnie przyczółka zamierzaliśmy przełamać dobrze zorganizowaną, silną obronę przeciwnika. W tym czasie przyczółek sandomierski był największym ze wszystkich naszych przyczółków nad Wisłą: około 75 kilometrów wszerz i około 60 kilometrów w głąb. Pozwoliło nam to ześrodkować tam poważne siły.

Niemcy doceniali oczywiście znaczenie przyczółka i przez dłuższy czas usiłowali nas stąd zepchnąć, wykorzystując w tym celu pokaźne siły.

Planowaliśmy dokonać z tego przyczółka przełamania obrony nieprzyjaciela na odcinku około 40 kilometrów. Samo przez się mówiło to już o skali planowanej operacji. Duża początkowo szerokość przełamania umożliwiała natychmiastowe wprowadzenie znacznych sił i pozwalała uniknąć na skrzydłach trudności, nieuchronnie powstających przy przełamywaniu obrony na węższym froncie.

Po przełamaniu obrony Niemców wojska naszego Frontu miały nacierać w ogólnym kierunku na Wrocław przez Radomsko i Częstochowę, a częścią sił — przez Kraków. W operacji tej mieliśmy współdziałać z wojskami 1 Frontu Białoruskiego, nacierającego z prawej strony.

Celem współdziałania było okrążenie i zniszczenie kielecko-radomskiego zgrupowania nieprzyjaciela, które stało przed stykiem obu frontów — przed prawym skrzydłem 1 Frontu Ukraińskiego i lewym 1 Frontu Białoruskiego. Następnie, po przekroczeniu przedwojennej granicy niemiecko-polskiej, siły główne naszego Frontu miały forsować Odrę, wojska zaś lewego skrzydła — opanować śląski rejon przemysłowy.

Tak więc przed 1 Frontem Ukraińskim stały poważne zadania operacyjno-strategiczne. Do ich wykonania dysponowaliśmy poważnymi siłami. W tym czasie mieliśmy, mówiąc tylko o sprzęcie technicznym i uzbrojeniu, 3 660 czołgów i dział pancernych, ponad 70 000 dział i moździerzy oraz 2 580 samolotów. Była to ogromna potęga i Front, dysponując nią, zdolny był wykonać postawione mu zadanie operacyjno-strategiczne. (...)

Natarcie z przyczółka zawiera w sobie również wiele innych cech specyficznych, z którymi należy liczyć się planując dużą operację. Wymaga ona poważnego przygotowania inżynieryjnego: dostatecznej liczby przepraw, dobrego ukrycia wojska, zorganizowania obrony przeciwlotniczej tak, aby zgrupowanie uderzeniowe nie znalazło się pod ciosami nieprzyjacielskiego lotnictwa jeszcze na podstawach wyjściowych. (...)

(Ciąg dalszy na str. 6)

W 150-lecie śmierci Tadeusza Kościuszki

„Chcę wolności całego narodu"

JULIUSZ WILLAUME

JEGO podobizna, zgodnie z przewidywaniami Mickiewicza z 1833 r., widnieje na naszych monetach. W 150 rocznicę zgonu wypada więc krótko przypomnieć, jak sylwetka Kościuszki rysuje się na tle dawniejszej, a przede wszystkim nowszej historiografii.

Wiadomości o rodzinie Kościuszków Siechnowickich, herbu Roch III, sięgają XVI wieku. Z pochodzenia Białorusini, wywodzili się od pisarza króla Zygmunta I, Konstantego, zwanego Kostiuszką, Fedorowicza, horodniczego w Kamieńcu nad Bugiem, męża Hanny z ruskich kniaziów Holszańskich. Polonizacja rodu dobiegła kresu w drugiej połowie XVII w., kiedy pradziad Tadeusza, Jan Aleksander, podsędek brzeskolitewski, w rodzinnej wiosce Siechnowiczach pod Brześciem wybudował kaplicę rzymskokatolicką. Tadeusz zachował poczucie związku z ludem ruskim, stale podpisywał się „Kosciuszko"; niekiedy jako mieszkaniec Wielkiego Księstwa Litewskiego nazywał się Litwinem w odróżnieniu od „koroniarzy", chociaż z wychowania i tradycji był Polakiem.

Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko urodził się 4 lutego 1746 r. w dzierżawionym folwarku Merczowszczyźnie, w powiecie słonimskim, jako syn Ludwika Tadeusza, miecznika brzeskiego i pułkownika jazdy lekkiej (zmarłego 1758) i Tekli z Ratomskich (zm. 1768). Po śmierci ojca przeniesiono się do Siechnowicz. Ideałem młodego Tadeusza, rozczytującego się w życiorysach Plutarcha, był łagodny i uczciwy Tymoleon koryntyjczyk, który po przywróceniu rodakom wolności zrzekł się władzy i powrócił w zacisze życia domowego. Podwaliny klasycznego wykształcenia zawdzięczał Kościuszko szkole pijarskiej w Lubieszowie pod Pińskiem, gdzie uczył się w latach 1755—1760. Skłonny do samotności, nieśmiały i skromny, nabyte w szkole wiadomości Tadeusz rozwijał jako samouk lekturą — szczególnie w zakresie historii, geografii i matematyki.

Dzięki poparciu Czartoryskich przyjęto go w grudniu 1765 r. do Szkoły Rycerskiej w Warszawie. Była to pierwsza w Polsce szkoła świecka, zarazem jednoroczna szkoła wojskowa z przewagą musztry, szermierki, jazdy konnej i tańca nad wykształceniem teoretycznym. Po roku jako chorąży został mianowany instruktorem. Po przekształceniu Szkoły Rycerskiej w 1768 r. w średnią szkołę kadecką z roczną nadbudówką podchorążówki, Kościuszko został kapitanem. W szkole panowała atmosfera patriotyzmu. Komendant szkoły, ks. Adam K. Czartoryski wpajał w młodzież ambicję służenia ojczyźnie, wskazywał na naukę jako środek wiodący do reformy ustroju w celu oswobodzenia kraju. Opiekujący się szkołą król-esteta zainteresował się zdolnościami rysunkowymi Kościuszki, który zresztą był krajanem Stanisława Augusta, wywodzącego się z Wołczyna w Brzeskiem.

Jako stypendysta królewski i ks. Adama K. Czartoryskiego, Kościuszko studiował malarstwo w akademii malarstwa i rzeźby w Paryżu, czego pokłosie stanowią rysunki z natury i fantazji, krajobrazy i portrety, dochowane w Muzeum Czartoryskich. Choć poprawne, nie wykraczają poza przeciętną miarę. Widocznie dostrzegł to sam Kościuszko, skoro zwrócił się ku autodydaktycznym studiom społeczno-ekonomicznym. Jego nazwisko nie widnieje w wykazach uczniów szkół wojskowych w Mézières i Bapaume. Natomiast jako cudzoziemiec mógł korzystać z kursów przygotowawczych do wyższych studiów wojskowych. Ważniejsze w skutkach miało się okazać zaznajomienie się z ruchem umysłowym francuskiego Oświecenia. Lata 1763—1774, spędzone nad Sekwaną, ugruntowały w nim światopogląd oparty na filozofii, hołdującej humanitaryzmowi i tolerancji, nacechowanej sentymentalizmem i kosmopolityzmem. Fizjokratom, głoszącym: „biedni chłopi — biedne królestwo", zawdzięczał zrozumienie związku zachodzącego między zasobnością włościan a dobrobytem kraju. Z „Umowy społecznej" Jana Jakuba Rousseau czerpał wzór ustroju mającego uszczęśliwić masy ludowe, a z jego traktatu o wychowaniu pt. „Emil" nabrał przekonania o godności pracy fizycznej. Wprowadził je w czyn ucząc się tokarstwa, stolarstwa i ogrodnictwa, które w latach przymusowej bierności z zamiłowaniem uprawiał.

Powrócił do kraju w połowie 1774 r. w okresie reform zmierzających po I rozbiorze do ratowania Rzeczypospolitej. Chociaż jako kapitan był na liście oficerów, jednak nie miał przydziału służbowego z powodu zatargu ze swym zwierzchnikiem, rezydującym w Sosnowicy pod Parczewem, wojewodą, pisarzem polnym, wreszcie hetmanem polnym litewskim Józefem Sosnowskim. Sosnowski odmówił zgody na wydanie swej córki, Ludwiki, za chudopachołka Kościuszkę. Próbie porwania panny, zresztą za jej zgodą a przy cichym poparciu Czartoryskiego, przeszkodził w r. 1775 Stanisław August, uprzedziwszy rodziców. Sosnowski zmusił córkę do poślubienia ks. Józefa Lubomirskiego z Równego.

(Dokończenie na str. 6)

Literatura

◆ CRZZ oraz Wydawnictwo „Śląsk" ogłosiły konkurs otwarty na powieść o tematyce wynikającej z szeroko pojętej problematyki różnych form pracy ludzkiej i przemian społecznych przede wszystkim w procesie socjalistycznego budownictwa w Polsce Ludowej. Termin do 28 lutego 1969 r. Suma nagród 135 tys. zł.

◆ 80 książek poświęconych poezji, prozie i dramaturgii narodowej ma się ukazać w Rumunii w najbliższych miesiącach. Autorami będą najlepsi historiografowie i krytycy. M. in. ma się ukazać pierwsze opracowanie historii krytyki oraz obszerne studium analityczne o literaturze współczesnej. Poeta Mihail Eminesco i dramaturg Ion Luca Caragiale doczekają się obszernych monografii.

◆ 37-letnia Irmgard Wagner, doktor ekonomii, zaczyna być uważana w NRF za „niemiecką Agatę Christie". Pisze podobno zupełnie dobre kryminały z szybkością jedna sztuka na dziesięć dni.

Teatr

◆ Krakowski Teatr Jednego Aktora Danuty Michałowskiej wystąpił z premierą sztuki „Gilgamesz". Jest to kompilacja poematów sumeryjskich sprzed 5 tys. lat według eposu, znalezionego w 1853 r. w ruinach biblioteki królewskiej starożytnej Niniwy.

◆ W głębi sceny — elektronowa maszyna matematyczna nosząca nazwę „Kasztan". Maszyna ta to współsprawca zbrodni popełnianych w dżungli. Opracowuje mnóstwo informacji i podejmuje decyzje. Mowa o jednej z „postaci" nowej sztuki francuskiego dramturga Armanda Gatti „W — jak Wietnam", którą wystawił jeden z zespołów w Tuluzie. Autor oparł się na autentycznych wydarzeniach. Tysiące faktów wybrał i ułożył w chronologicznej i logicznej kolejności. Konfrontuje dwa poglądy na świat. „Kwadratura", „Megaszeryf", „Kongresman" — symboliczni bohaterowie sztuki — przedstawiają McNamarę, Johnsona, gen. Whealera. Dodajmy, że wszystkie repliki aktorów, grających funkcjonariuszy Pentagonu, zaczerpnięte zostały przez autora z dokumentów i autentycznych przemówień wysokich osobistości amerykańskich. Maszyna matematyczna otrzymała pytanie dotyczące trzeciej wojny światowej: „Co może spowodować w obecnej chwili jej wybuch?" Odpowiedź brzmi: „Wietnam".

◆ W Pradze odbywa się „Praskie Quadriennale" — międzynarodowa wystawa scenografii i architektury teatralnej, pierwsza tego rodzaju impreza w Europie. Uczestniczy ponad 300 plastyków teatralnych z 23 krajów świata, w tym ekspozycja prac 24 artystów polskich. Na zakończenie sympozjum na temat współpracy reżysera ze scenografem.

◆ Młody autor francuski Victor Heim złożył w dyrekcji teatru paryskiego „Athénée" sztukę „Biała armia". Nie znamy jej treści, ale na podkreślenie zasługuje fakt, że już następnego dnia otrzymał z teatru odpowiedź — zresztą przychylną.

Muzyka

◆ Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia dała 6 koncertów w ramach XXII międzynarodowego festiwalu w Montreux w Szwajcarii. Dyrygowali J. Krenz, P. Klecki oraz R. Benzi.

◆ Nasz świetny skrzypek Konstanty Kulka odniósł wielki sukces w Bernie, gdzie dał recital. Młody wirtuoz odegrał przy akompaniamencie Jerzego Marchwińskiego sonaty Tartiniego, Beethovena, Bartoka, scherzo i tarantelę Wieniawskiego oraz nokturn i tarantelę Szymanowskiego. Prasa szwajcarska oceniając kunszt polskiego artysty stwierdza, że jego międzynarodowa sława jest w pełni zasłużona.

◆ „Nuda — oto co w jednym słowie zamyka wrażenia z muzycznych wydarzeń pierwszych trzech dni „Warszawskiej Jesieni — 67" — stwierdził w „Życiu Warszawy" znany krytyk Zdzisław Sierpiński. Później było podobnie, a wyjątkiem był chyba tylko „Dies irae" Pendereckiego.

◆ 325 osób oraz 193 tony dekoracji i kostiumów zabrał moskiewski Teatr Opery i Baletu (zwany „Bolszoj") na występy w ramach Expo-67 w Montrealu. W ciągu 29 dni dano 5 spektakli, w tym „Borysa Gonunowa" i „Damę Pikową". Był to drugi wyjazd zagraniczny Opery w ciągu 191 lat jej istnienia.

◆ Po występach na Wystawie Światowej w Montrealu, moskiewski Teatr Wielki rozpoczął nowy sezon we własnej siedzibie. Program spektaklu inauguracyjnego 182 sezonu tego teatru wypełniła opera Michała Glinki „Iwan Susanin". Jednocześnie na scenie w Kremlowskim Pałacu Zjazdów wystawiono „Jezioro łabędzie" Czajkowskiego. Największa scena muzyczna ZSRR ma w stałym repertuarze ponad 50 spektakli, a w przygotowaniu znajdują się 8 nowe przedstawienia. M. in. rozpoczęto próby opery Aleksandra Chetminowa „Tragedia optymistyczna" wg znanej sztuki Wiszniewskiego. Premiera tego dzieła zapowiedziana jest na koniec października. Na początku przyszłego roku wejdzie na afisz nowa wersja baletu Chaczaturiana „Spartakus". Przystąpiono również do inscenizacji opery Prokofiewa „Siemion Kotko". W końcu grudnia Teatr Wielki wybiera się do Warszawy, a w przyszłym roku — do Wiednia.

◆ Komitet organizacyjny olimpiady zimowej ogłosił konkurs na hymn. Po szczegółowe informacje należy pisać: Comité d'organisation des Jeux Olympiques, B. P. 1043, 38-Grenoble, France.

◆ W jednym z głównych parków Helsinek odsłonięto pomnik Sibeliusa. Jest to abstrakcyjna kompozycja ze stali wysokości i szerokości po 8 m, a mająca wyobrażać coś w rodzaju lasu, który jest swego rodzaju symbolem Finlandii. Pomnik kosztował 250 tys. dolarów.

◆ Miasto Prades w Pirenejach wybiło medal pamiątkowy na cześć Pablo Casalsa, którego oratorium „Pessebre" zostało wykonane w tym mieście.

Sztuka

◆ Wielkim sukcesem uwieńczony został udział Tadeusza Kantora w trwającym obecnie w Sao Paulo IX Międzynarodowym Biennale Sztuki Współczesnej: przy niezwykle silnej międzynarodowej konkurencji artysta polski otrzymał jedną z dziesięciu równorzędnych nagród.

◆ W międzynarodowym konkursie plastycznym w Arezzo we Włoszech E. Majkowski zdobył I nagrodę w dziale plakietek, a W. Mueldner-Nieckowski oraz Ludmiła Schemioith-Bursa dwie równorzędne nagrody w dziale medalierstwa artystycznego.

◆ W Moskwie odsłonięto pomnik wielkiego malarza Starej Rusi Andrzeja Rublowa. Od pomnika prowadzi droga do Spasskiego Soboru, gdzie mieści się muzeum Rublowa.

◆ W Abu Simbel w ZRA zakończono już przenoszenie starożytnych świątyń Ramzesa II i Neferteri. Pozostaje jeszcze wykończenie otoczenia. W czasie agresji izraelskiej robót nie przerwano.

◆ W Grenoble odbyło się sympozjum rzeźbiarskie, związane ze zbliżającą się olimpiadą zimową w tym mieście. Na ulicach miasta wystawiono 15 monumentalnych rzeźb dłuta artystów rumuńskich, włoskich, czeskich, argentyńskich, greckich, japońskich, węgierskich, szwajcarskich i francuskich i one właśnie były tematem sympozjum.

Polonica

◆ Miesięcznik „Sowietskaja Muzyka" przyniósł obszerny artykuł poświęcony spotkaniu kompozytorów polskich i radzieckich w Moskwie (kwiecień br.). W artykule zacytowano fragmenty wystąpień przedstawicieli środowiska twórczego obu krajów.

◆ W wydanej przez londyńską firmę Penguin Books serii poświęconej współczesnym twórcom literatury światowej ukazał się ostatnio tom zawierający utwory — prozę i poezję — pisarzy polskich. Książka opracowana przez Celinę Wieniawską prezentuje angielskim czytelnikom twórczość prawie 30 polskich autorów. Na końcu książki podane są notki o każdym autorze.

◆ Sierpniowy numer radzieckiego miesięcznika „Wokrug Swieta", którego nakład wynosi 2.500 tys. egzemplarzy, przyniósł reportaż Lucjana Wolanowskiego o Australii pt. „Czarni tropiciele śladów znajdą mnie". Poprzednio reportaż ten wydrukowany był w tygodniku „Swiat" pt. „Lepszy niż pies".

◆ Na zaproszenie francuskiego Stowarzyszenia Sztuki Ludowej bawił w tym kraju 50-osobowy Zespół Pieśni i Tańca „Wielkopolska". Wziął on udział w odbywającym się w Bretanii Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym, gdzie zdobył I miejsce. Występ „Wielkopolski" na koncercie galowym w Brzeście miejscowa prasa uznała za rewelację.

◆ W wydawnictwie „Smena" w Bratysławie ukazał się słowacki przekład powieści „Disneyland" Stanisława Dygata. Książkę tłumaczył Józef Ilvise.

Różne

◆ W Krakowie rozpoczął się cykl seminariów dla działaczy związkowych na temat pracy wychowawczej i kulturalnej po VI Kongresie Związków Zawodowych. Na pierwszym seminarium byli obecni działacze z województw: krakowskiego, lubelskiego, kieleckiego i rzeszowskiego.

◆ W 1969 r. odbędzie się w Polsce międzynarodowy kongres uczonych, zajmujących się badaniami nad okresem neolitu. Z tej epoki mamy w kraju doskonale zachowaną kopalnię krzemienia w Krzemionkach Opatowskich oraz tzw. groby kujawskie blisko Koła oraz Brześcia Kujawskiego. Prowadzi się prace nad ich uprzystępnieniem dla zwiedzających.

◆ Lingwista radziecki Aleksiej Charszenin przygotowuje do druku słownik i gramatykę języka etruskiego. Etruskowie zamieszkiwali teren dzisiejszych Włoch 2 500 lat temu, ich język dotychczas nie został całkowicie rozszyfrowany.

◆ Niektóre dzienniki zachodnie wydrukowały sfałszowany list Arnolda Zweiga, który rzekomo chciał wyjechać do Izraela lecz nie otrzymał wizy od rządu NRD. W odpowiedzi Zweig oświadczył m. in.: „Nawet w czasie Goebbelsa nie publikowano takich oszustw związanych z moją osobą". Zweig ma lat 80 i od 1948 r. przebywa i tworzy w NRD, (emigrował w 1933 r.).

◆ 75-letni dramaturg amerykański Henry Miller ożenił się z 23-letnią Hoki Tokuda. Dotychczas śpiewała ona piosenki jazzowe w chińskiej dzielnicy San Francisco — Chinatown. To już piąte małżeństwo Millera, a niektóre jego książki wciąż są w USA zakazane — Sąd Najwyższy uznał, że szerzą one pornografię.

◆ „Trofeum wolności" na rok 1968 zostało przyznane Pablo Casalsowi (91 lat) „za znakomitą harmonię działalności na rzecz pokoju z bogactwem artystycznym muzyki". „Trofeum" jest przyznawane co roku przez organizację Freedom House, która powstała przed 25 laty po połączeniu się różnych stowarzyszeń antyfaszystowskich.

Film

◆ Wiadomo już, że Jan Kreczmar będzie Łęckim w filmowej wersji „Lalki". W tej chwili przygotowuje się do zagrania roli tytułowej w „Horsztyńskim" na scenie warszawskiego Teatru Klasycznego.

◆ Na ekrany radzieckich kin wszedł film Jerzego Kawalerowicza „Faraon", oparty na powieści Bolesława Prusa. „Sowietskaja Kultura" przypomina w związku z tym o dotychczasowym dorobku Kawalerowicza.

◆ Radziecki reżyser Lew Arnsztam rozpoczął prace nad filmem, którego bohaterką będzie Sofia Pierowska, jedna z pierwszych rosyjskich rewolucjonistek, skazana na śmierć i powieszona za caratu.

◆ Terence Young, twórca pierwszych filmów z Jamesem Bondem, przygotowuje film biograficzny o Aleksandrze Puszkinie. Plenery pragnie nakręcić w ZSRR.

◆ Clive Exton zakończył scenariusz zekranizowanej wersji głośnej sztuki Eugene Ionesco „Nosorożec". W rolach głównych wystąpią Peter Sellers i Peter Ustinow.

◆ Co to znaczy potęga ekranu (czytaj pieniądza). Howard Taylor, brat Elizabeth, był dotychczas profesorem uniwersytetu w Honolulu. Teraz rzuca katedrę i razem z siostrą i jej mężem Burtonem wystąpi w kilku filmach.

„Umieszczając swoją kompozycję pomiędzy gałązkami dębu, a serdecznym gestem młodej kobiety czytającej książkę, Hans Erni chciał pokazać więzy, które z jednej strony łączą Rousseau z naturą, z drugiej z życiem wewnętrznym człowieka" — taką opinię o reprodukowanej wyżej mozaice wyraził prof. Bernard Gagnebin z Genewy. Mozaika znajduje się w gmachu największego magazynu handlowego w tym mieście „La Placette". Budynek ten zbudowano ostatnio na miejscu zburzonego domu, w którym jako dziecko mieszkał J. J. Rousseau — jego podobiznę (w peruce i żabocie) widzimy w lewym dolnym rogu.

◆ Nowa powieść Louisa Aragona pt. „Blanche ou l'Oubli", obejmująca blisko 500 stronic druku, ukazała się w tych dniach w wydawnictwie Gallimard. Bohaterem Aragona jest lingwista Geoffroy Galtier, który jest alter ego autora. W ten sposób powieść Aragona ma właściwie postać zakamuflowanych pamiętników, obejmujących okres od lat dwudziestych do II wojny światowej. W utworze Aragona fabuła jest właściwie tylko pretekstem. Książka jest głębokim esejem na temat nowoczesnej powieści, której początek dał Flaubert, a której Aragon przypisuje kapitalną rolę w nowoczesnym społeczeństwie. „Człowiek pierwotny potrzebował skóry zwierzęcia i jaskini; człowiek współczesny potrzebuje powieści"...

◆ Opinia „Journal de Genève" o współczesnych poetach szwajcarskich: „W świecie, który jest tak pracowity, znaleźli oni czas na układanie przedziwnych kombinacji słów. Wykładają swoją myśl w formie nieczytelnej, później mieszają słowa układając je jak popadnie"...

◆ Alberto Moravia pomyślnie zdał egzaminy na dziennikarza — zgodnie z nowymi przepisami obowiązującymi we Włoszech: kto nie ma studiów specjalistycznych a chce być dziennikarzem, musi zdać egzamin z wiadomości ogólnych.

◆ We Francji na 100 sprzedanych książek 36 to powieści, 14 podręczniki, 13 kryminały, 9 historia, 7 literatura dla dzieci, 6 nauka i technika, 5 filozofia, polityka i religia, 5 poezja i sztuki teatralne, 3 podróżnicze, 1 różne.

◆ W Moskwie ukazały się w całości „Notatki z podróży" Wiktora Niekrasowa, publikowane tylko w wyjątkach przez „Nowy Mir" w 1962 r.

◆ 5 tys. dolarów wyniesie nagroda hiszpańskiego wydawnictwa „Taurus" za studium historyczne lub krytyczne na temat literatury hiszpańskiej lub hiszpańsko-amerykańskiej.

WACŁAW MROZOWSKI NIE ŻYJE

25 września br. zmarł w Ośrodku Onkologicznym Szpitala im. L. Rydygiera w Łodzi WACŁAW MROZOWSKI, poeta bardzo blisko związany z Lubelszczyzną.

Urodzony 12.VI.1912 r. w Chełmie, był uczniem Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Debiutował w 1932 r. na łamach chełmskiej „Spójni", którą później redagował. Należał do grupy poetyckiej „Pryzmaty", zaś po przeniesieniu się w 1934 r. do Warszawy związał się z Józefem Czechowiczem i skupionymi wokół niego poetami: Stanisławem Piętakiem, Bronisławem Ludwikiem Michalskim, Henrykiem Dominskim i in.

Przed wojną współpracował m. in. z Instytutem „Reduta", kierowanym przez Juliusza Osterwę, był także sekretarzem Wydziału Wydawniczego Związku Nauczycielstwa Polskiego. Po wyzwoleniu zorganizował Ludowy Instytut Literacko-Naukowy w Solicach na Dolnym Śląsku. Był redaktorem oddziału dziennika „Pionier" w Wałbrzychu, redagował tygodnik literacko-społeczny „Wałbrzych", współpracował z wieloma pismami, m. in. „Kameną" — od chwili jej powstania.

Od roku 1950 Poeta mieszkał stale w Łodzi, gdzie pełnił obowiązki członka Zarządu (od 1962 r.) i sekretarza (od 1963 r.) Oddziału Związku Literatów Polskich. Z dala od Lublina utrzymywał jednak bliski kontakt z ziemią rodzinną. Współpracował z Wydawnictwem Lubelskim, które opublikowało kilka Jego książek, brał udział w pracach nad zorganizowaniem Muzeum Czechowicza, uczestniczył systematycznie w „Dniach Chełma", imprezach z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy itp.

Wacław Mrozowski był autorem dwunastu pozycji książkowych: dwóch tomów wspomnień: „Cyganeria" (1963) i „Wspominki dolnośląskie" (1966) oraz dziesięciu tomików poetyckich. W jego opracowaniu ukazały się ponadto: „Antologia współczesnej poezji szkolnej" (1935). W produkcji znajduje się także redagowany przez Niego II tom Dzieł Józefa Czechowicza, na który złożyły się dramaty i proza artystyczna.

Zmarły do ostatnich dni czuł się lublinianinem, przygotowywał wspomnienia z lat młodości spędzonych w Chełmie. Śmierć zabrała go w wieku zaledwie 55 lat, zadając współczesnej poezji polskiej kolejną stratę.

Cześć Jego pamięci!

Na łamach prasy zagranicznej

Charakterystyczne porównania

Na łamach dziennika **„SOWIETSKAJA ROSSIJA"** ukazał się wywiad z wiceprezesem Akademii Nauk ZSRR, **Aleksym Rumiancewem**, który zawiera szereg interesujących danych.

Rumiancew przypomina, że udział Rosji w światowej produkcji przemysłowej spadł w 1921 roku do 1 proc. Kraj pozostawał w tyle za USA: w produkcji przemysłowej — prawie o 60 razy, w wytopie stali — o 260 razy, w wydobyciu węgla i ropy — o 75—80 razy, w produkcji artykułów żywnościowych, tkanin i obuwia — o 30—35 razy.

W okresie od 1918 do 1966 roku przeciętne roczne tempo wzrostu produkcji przemysłowej w ZSRR wynosiło 9,9 proc., a w USA — 3,7 proc. W 1966 roku udział ZSRR w światowej produkcji przemysłowej osiągnął jedną piątą.

Wartość globalnego produktu społecznego oraz dochodu narodowego ZSRR stanowi obecnie 62 proc. w porównaniu z odpowiednimi wskaźnikami USA, produkcja przemysłowa — ponad 65 proc., a produkcja rolnictwa, w przybliżeniu 80 proc.

ZSRR wyprzedza USA w wydobyciu rudy żelaznej, produkcji cementu, drzewa, węgla, obrabiarek, tkanin wełnianych, masła, w połowach ryb.

W konkluzji Rumiancew stwierdza: *Wciąż jeszcze pozostajemy w tyle za USA jeśli chodzi o przeciętny poziom życia, natomiast posuwaliśmy się szybciej, jeśli chodzi o wzrost tego poziomu. Różnica między stopą życiową w ZSRR i USA zostanie stosunkowo szybko przezwyciężona.*

W Czechosłowacji o Masaryku

14 września 1967 r. minęła 30 rocznica śmierci pierwszego prezydenta Czechosłowacji, **T. G. Masaryka.** Z tej okazji **Jan. O. Novak** pisze m.in. w tygodniku KC KPCz, **„KULTURNI TVORBA"**:

Kiedy przed 30 laty umarł T. G. Masaryk, mało kto przypuszczał, że w rok i kilka dni potem zburzone zostanie również państwo, którego powstanie i rozwój wiązali z imieniem Masaryka zarówno jego zwolennicy i wyznawcy, jak i jego przeciwnicy. Sposób, w jaki to państwo zostało rozerwane w czasie monachijskich wydarzeń roku 1938 oraz w toku dalszych wypadków był niezwykle drastyczny i brutalny, a ponadto skrajnie niebezpieczny dla dalszego istnienia wszystkich jego obywateli. Ów sposób spowodował, że siła afektu, przyciągającego wielką część narodu — przede wszystkim czeskiego — ku ideałom wiązanym z imieniem Masaryka i z jego państwem wzrosła jeszcze bardziej. Jednocześnie zwiększyła się również liczba samych ideałów, tym piękniejszych, im mniej były w owym państwie realizowane, im mniej słusznie były przypisywane Masarykowi.

...Indywidualności historyczne miewają więcej niż jedną postać i dlatego były z nimi zawsze trudności. Są to jednak ludzie z krwi i kości, tak, jak wszyscy inni. Mają jednak jeszcze inną egzystencję, która — mierzona stopniem ich oddziaływania na świat — jest bardziej prawdziwa od tej pierwszej. Są indywidualności, które zdają sobie sprawę ze swojej drugiej postaci — dajmy na to ideologicznej — i potrafią się z nią właściwie obchodzić. T. G. Masaryk również do nich należał.

J. O. Novak przyznaje, że koncepcje Masaryka i jego poglądy na rozwiązanie problemów społeczeństwa czeskiego *korzystnie się różniły od tradycyjnej polityki czeskiej swym rozmachem i modernizmem.* Nawet pod koniec wojny światowej, jak również i potem, *kiedy nie doszło do spodziewanych zmian w Europie według wzoru Wielkiej Rewolucji Październikowej* można było na podstawie owych koncepcji *modelować młode państwo burżuazyjne na poziomie — z punktu widzenia demokracji burżuazyjnej — stosunkowo wysokim.*

Autor artykułu omawia następnie *parlamentarno-koalicyjny* system rządów Masaryka, który zapewniał włączenie wszystkich państwowotwórczych sił do mechanizmu władzy oraz nie dopuszczał do osiągnięcia uprzywilejowanej pozycji przez któregokolwiek z partnerów. Opozycja w owym systemie pełniła ważną funkcję przy uzyskiwaniu *masowej zgodności poglądu.* Jednakże owa *swoboda działania* dla opozycji nie była na tyle wielka, aby przeszkodzić reżimowi w brutalnym atakowaniu takiej opozycji, która przedstawiała prawdziwe niebezpieczeństwo, to znaczy opozycji rewolucyjnej.

Na łamach **„LITERATURNI NOVINY"** o T. G. Masaryku pisze **Jan Prohazka.**

Masaryk — stwierdza m. in. autor — *był filozofem, który bezustannie i z zamiłowaniem przystępował do różnych praktycznych utarczek. Oprócz swej profesury z pasją zajmował się polityką. Głosił szlachetne zasady i — o dziwo — sam się do nich stosował. Przy tym wszystkim był zawsze pedagogiem i wychowawcą, ponieważ wiedział, że prowadzić jakikolwiek naród, oznacza wieść ciągłe zmagania z jego negatywnymi właściwościami. Podkreślał, że powodzenie każdego przedsięwzięcia zależy od charakteru tych, którzy je wykonują. Jeśli był uznawany również przez nieprzyjaciół, to przede wszystkim dzięki swemu, niespotykanemu już dzisiaj, szacunkowi i tolerancji dla poglądów, z którymi sam się nie zgadzał. Zyskiwał zwolenników, mimo że nikomu nie pochlebiał, ani też nie groził.*

...T. G. Masarykowi może być obojętne, czy go w danej chwili bronią, czy też oskarżają. Jego miejsce w dziejach Czechosłowacji jest fundamentalne.

...T. G. Masaryk może bez wątpienia wiele powiedzieć również dzisiejszemu, socjalistycznemu człowiekowi.

Prasa socjalistyczna

„Prasa, czytelnik i nasz kraj" — to tytuł artykułu, jaki ukazał się w centralnym organie KC KPCz **„RUDE PRAVO"** w związku z Dniem Prasy, Radia i Telewizji, uroczyście obchodzonym u naszych południowych sąsiadów.

Dzień Prasy — stwierdza dziennik — obchodzimy w tym roku w okresie, kiedy właśnie można by sądzić, że znów ożyła „zimna wojna" w stosunku do Czechosłowacji. To jednak nie są zwykłe ataki, tylko ataki określonych burżuazyjnych dzienników i czasopism przeciwko nam. To jest cała scentralizowana kampania, która oczywiście wymierzona jest równocześnie i przeciwko innym krajom socjalistycznym.

Chcemy czy nie chcemy — pisze „Rude Pravo" — *jest ta zagraniczna kampania wyzwaniem rzuconym tym wszystkim, którzy w ten czy inny sposób zaangażowani są w naszej publicystyce i dziennikarstwie.* Jest to także wyzwanie — kontynuuje dziennik — do tego, aby każdy znów jasno uświadomił sobie, po czyjej stronie stoi.

Jasne jest — czytamy dalej — i wypływa to z całego ducha ostatnich zjazdów KPCz, że nie można chronić duchowego zdrowia jakimiś *klapami bezpieczeństwa* polegającymi na nieinformowaniu i niezajmowaniu z istniejącymi problemami. Również wiadomości ze świata nie można klasyfikować według tego, co *nie powoduje trudności* i nie wymaga naświetlenia. Dziennik dodaje, że postulat wzrostu naszej wiedzy i rozwoju komunistycznego myślenia, które nigdy nie bało się polemiki i starć, wymaga, aby dokonywano także godnych uwagi przekładów dzieł zachodnich autorów, które nie są pisane z pozycji socjalistycznych.

Dzień Prasy — pisze „Rude Pravo" — jest szczególną okazją, aby wskazać znów na to, że komunistyczny, socjalistyczny dziennikarz nie jest tylko jakimś *gadułą*, po którym spływają słowa i myśli. On sam musi ze zrozumieniem i znajomością spraw uczestniczyć w kształtowaniu stanowisk.

27 września 1967 r. zmarł nagle w Warszawie w wieku 47 lat

RED. LESZEK GOLIŃSKI

długoletni publicysta „Trybuny Ludu" i współpracownik „Kameny", działacz społeczny, przewodniczący Klubu Publicystów Kulturalnych SDP, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Dziesięciolecia i innymi odznaczeniami.

Dziennikarstwo polskie poniosło wielką stratę. Cześć Jego pamięci!

Zespół „Kameny"

Start do roku kulturalnego

(Dokończenie ze str. 1)

administracyjna w wielu dziedzinach dotarła już do GRN — to czemu w kulturze ma być inaczej? Jeżeli te rady narodowe najniższego szczebla mają być rzeczywiście gospodarzami na własnym terenie, jeżeli nie chcemy dotacjami i okólnikami podtrzymywać sztucznie rubryk w sprawozdaniach z działalności kulturalnej, ale z tą kulturą rzeczywiście dotrzeć na głęboką wieś lub odwrotnie: z niej czerpać nowe wartości — niech więc gromady będą podstawową formą działalności. Stąd właśnie stawka na tworzenie, a potem działalność gromadzkich ośrodków kultury. Taki ośrodek to biblioteka, kino, klub, — gdzie można — czytelnia, miejsce pracy zespołów amatorskich, możliwości występu solistów czy zespołów zawodowych. Jedno kierownictwo, jeden budżet, rzeczywiście skoordynowana działalność. Nie tylko na dziś i jutro, ale perspektywiczny plan działania, nie nadmuchany dla sprawozdań, ale realny w warunkach konkretnej gromady. Plan zatwierdzony przez GRN, która dzięki temu będzie czuła się coraz bardziej odpowiedzialna za jego realizację.

Mówiono mi dalej w wydziale: stawiamy wiele na towarzystwa regionalne. Tam jest najwięcej entuzjastów pracy społecznej, tam rodzą się inicjatywy, tam najłatwiej znaleźć wspólników do realizacji konkretnych zadań. To nie one powinny opierać swoją działalność na aparacie państwowym, a odwrotnie — aparat na nich. Spodziewamy się również — dodawano, niestety, bez całkowitej jeszcze pewności — dużej pomocy, raczej współudziału przedsiębiorstw państwowych: teatrów, filharmonii, zespołów estradowych. Plany są gotowe, ale jako że kłócą się z bardzo już w ostatnich latach wyśrubowanymi planami finansowymi, poszły także do Ministerstwa Finansów i miejmy nadzieję, że napięta struna wpływów zostanie zwolniona nie na końcu, a na początku każdego roku. Bieżący rok kulturalny — ale stanie się to dopiero w połowie przyszłego roku kalendarzowego — zamierza się też połączyć z imprezami sportowymi, a przede wszystkim turystycznymi. To już zupełnie coś nowego, coś jakby — z wielu zastrzeżeniami formułując — humanizacja sportu, chociaż zapaleni kibice powiedzą pewnie: usportowienie kultury. Mniejsza i tu o nomenklaturę jeżeli sam pomysł chwyci. U widzów na pewno, ale czy u działaczy sportowych, zwłaszcza gdy przyjdzie do jakiegoś finansowego rozliczania kosztów? O rozliczeniu zysków nawet mi się nie marzy...

Mówiliśmy w wojewódzkim wydziale jeszcze o jednej sprawie. Sławnej pamięci SFOS pozostawił po sobie — poza Warszawą — tysiące innych inwestycji w kraju, w tym setki inwestycji kulturalnych. Skończył się mecenat SFOS-u i, niestety, nikt nie zajął jego miejsca. Mówi się po cichu, że warto byłoby pewien procent z wpływów na Fundusz Budowy Szkół i Internatów przeznaczyć na inwestycje kulturalne — przecież tu i tam chodzi o młodzież, tu i tam wchodzą w grę najcenniejsze wartości społeczne. Ale z mówienia po cichu nic pewnie nie będzie, na głośne zaś rozmowy nie wiadomo dlaczego się nie zanosi. Póki co więc trzeba by pomyśleć o innych źródłach, jeżeli już nie inwestycyjnych, to chociażby na działalność codzienną lub choćby odświętną. Kiedyś na wysokim szczeblu zostało zawarte porozumienie o komisjach koordynacyjnych, ale w praktyce nic prawie z tego nie wyszło. Im niżej właśnie, tym mniej, chociaż na zdrowy rozum powinno być odwrotnie. Potem kilka województw — prym wiodły tu Kielce — utworzyło na podobnych zasadach własny fundusz kultury. W tymże woj. kieleckim zebrano do wspólnej kiesy coś ok. 20 milionów, co pozwoliło nie tylko na rozwiązanie wielu palących problemów, ale i jakieś sensowne, hierarchiczne budowanie obiektów, nie zaś zaspokajanie lokalnych, nie zawsze słusznych w danej chwili ambicji. Propagowałem przed 3 laty kieleckie osiągnięcia w lubelskiej prasie codziennej, ale i na tym się wtedy skończyło. Wygląda jednak na to, że chyba sprawa odżyje, tym razem już na administracyjnym szczeblu...

A jak bardzo taka koordynacja jest w terenie potrzebna świadczy wypadek Krasnobrodu, który zresztą nie jest wyjątkiem. Kierownik zamojskiego wydziału kultury powiada: nic na siłę, do koordynacji finansowej trzeba dojść przez koordynację programową. Wyznanie wiary czy chęć jakiegoś wybielenia uczestników konfliktu, którego byłem mimowolnym świadkiem?

Pewnie jedno i drugie. Bo godzinę wcześniej w tymże samym gabinecie na posiedzeniu Kolegium Wydziału Kultury Prez. MRN i PRN omawiano m. in. program działalności młodziutkiego zresztą oddziału Polskiego Towarzystwa Muzycznego. Plan nie był imponujący liczbą pozycji — i to właśnie trzeba zapisać na jego dobro. Liczył się ze swoimi realnymi możliwościami, nie liczył na dotacje. A jednak podjął kilka zasadniczych spraw, choć przytoczę tylko dwie. Wiadomo, że lubelska — i nie tylko lubelska — Filharmonia prowadzi szeroką akcję umuzykalnienia w szkołach średnich. Podstawowymi jakoś prawie nikt się nie zajmował — zbyt niskie progi. Przy dużej pomocy orkiestry Namysłowskiego (ubranej już w nowe kostiumy dzięki dotacji Prez. WRN) zamierza się podjąć ofensywę na szkoły podstawowe, co kilka miesięcy dla tejże młodzieży tworzy się nowe, społeczne ognisko muzyczne, aby zyskać nauczycieli dla tych szkół i ognisk podjęto starania o utworzenie filii lubelskiej średniej szkoły muzycznej.

I druga rzecz — chyba bez precedensu nie tylko w woj. lubelskim. Zewidencjonowano działające po wsiach zespoły muzyki rozrywkowej. Te znane w kręgu kilku gromad i tę na pół tajne, występujące na weselach i nie rejestrowanych zabawach. A jest ich w powiecie aż 56. O tym, jaką mogą odegrać rolę w umuzykalnieniu społeczeństwa nie trzeba chyba pisać. Pod warunkiem, że ktoś będzie nad nimi czuwał, dostarczy nut... Aha, bieda z tym, że w pięcioosobowych zespołach najczęściej tylko jedna osoba jako tako umie czytać nuty. Więc właśnie przeprowadzono rejestrację po to, aby uczyć nut, aby podnosić poziom gry. Właśnie przeprowadza się już drugą weryfikację — przy każdej wymagania są nieco wyższe. W zamian sankcjonuje się istnienie tych zespołów, powstanie księgarnia muzyczna, tworzy się płytoteki w gromadach, organizuje występy wobec coraz bardziej wybrednej publiczności.

Zamojski wreszcie należy do tych bardzo nielicznych powiatów, które mają zatwierdzony przez wszelkie możliwe władze i opinię społeczną perspektywiczny plan rozwoju placówek kulturalnych. Plan może nieco szczupły na wymagania maksymalistów, ale właśnie dlatego bardzo realny i już konsekwentnie, chociaż nie bez kłopotów, realizowany. I obie rady — powiatowa i miejska — przekazują zgodnie do wspólnej kasy łącznie 5 mln zł rocznie. Nie szczędzą też dodatkowych wpłat — właśnie Prezydium PRN uchwaliło dodatkowo 50 tysięcy zł na zakup książek do bibliotek gromadzkich.

A właśnie jeżeli chodzi o biblioteki mamy na Lubelszczyźnie szczególnie wiele do zrobienia. Według ostatniego rocznika GUS (1966) w woj. lubelskim mieszka dokładnie 6 proc. ludności Polski. W bibliotekach powszechnych mamy natomiast tylko 5,68 proc. woluminów. Te 0,32 proc. należy przełożyć na 135 tysięcy książek, których nam brakuje, gdybyśmy chcieli osiągnąć prawidłowe matematycznie proporcje. A przecież powinniśmy mieć więcej, jeżeli chcemy nadrabiać dawne zaległości. Nasz północny sąsiad — woj. białostockie — ma 3,67 proc. ludności, a 4,08 proc. woluminów, woj. kieleckie 6 proc. ludności i 6,15 proc., rzeszowskie wreszcie 5,36 proc. ludności, a 5,93 proc. woluminów. Tak więc pod względem zaopatrzenia bibliotek powszechnych jesteśmy w woj. lubelskim nie tylko gorsi od przeciętnej krajowej, ale także najgorsi w unii 4 województw.

Zbiorowe groby wokół Rotundy w Zamościu — Fot. J. Dostatni

Jeżeli już tkwimy w Roczniku GUS-owskim, spójrzmy i na sąsiednie rubryki. W ilości woluminów na tysiąc mieszkańców znowu tylko woj. lubelskie jest poniżej przeciętnej krajowej, a przoduje woj. białostockie. Sardonicznej pociechy można zaczerpnąć dopiero z ostatniej pozycji — wypożyczenia na 1 czytelnika. Sardonicznej — bo wszystkie cztery województwa znajdują się nawet dość pokaźnie poniżej średniej krajowej, ale najniższe miejsce zajmuje właśnie woj. lubelskie. Zresztą także ostatnie w kraju, o czym dotychczas jakoś uparcie milczymy, a z czego chyba należałoby zrobić większy szum, aby możliwie najszybciej podjąć skuteczne środki zaradcze. Zwłaszcza, że poziom wypożyczeń mimo okresowych wahań od lat 6 nie uległ zmianie, co mimo inauguracyjnych uroczystości trzeba wytknąć działaczom kulturalnym. Minimalnie lepsza od przeciętnej wojewódzkiej sytuacja w powiecie i mieście Zamościu też chyba nie zadowala ambicji gospodarzy terenu o tak długich i wspaniałych tradycjach kulturalnych.

Przyczepiłem się trochę do bibliotek, ale trzeba lojalnie przyznać, że w sumie i Zamość i jego powiat w działalności kulturalnej zajmują przodujące w województwie miejsce, tu w dniach 14 i 15 października odbędzie się wojewódzka inauguracja roku kulturalnego 1967/68. Szeroki będzie wachlarz treści tego roku: muzyka, żywe słowo, plastyka, historia, książka, prasa, teatr, estrada, telewizja, fotografika, filatelistyka...

Ale dwa kapitalne zagadnienia wybijają się na czoło. Pierwsze to, oczywiście, rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej, rocznica dni, które nie tylko wstrząsnęły światem, ale i w pokaźnej części już go zmieniły i nadal zmieniają. A więc dokładniejsza znajomość historii, poznanie różnych dokumentów, wystawy, wieczory muzyki i literatury radzieckiej, spotkania z ludźmi znającymi te sprawy szczególnie blisko, społeczne, polityczne i gospodarcze konsekwencje Wielkiej Rewolucji, jej dawne i dzisiejsze konsekwencje w naszym kraju...

Drugi akcent ma również szczególną wymowę. 15 października nastąpi udostępnienie społeczeństwu odbudowanej Rotundy, a w niej ekspozycji martyrologii ludności Zamojszczyzny. Właśnie mija — w nocy z 27 na 28 listopada — 25 rocznica rozpoczęcia masowych wysiedleń, które w ciągu 4 pierwszych miesięcy nasilenia akcji objęły 42 tysiące osób ze 116 miejscowości, potem było jeszcze ok. 70 tysięcy.

Już w połowie 1940 r. w Rotundzie urządzono przejściowy obóz koncentracyjny, a wkrótce potem kaźnię, w której zginęło co najmniej 8 tysięcy ludzi. Liczba to zresztą niepewna, może było i 20, a nawet 40 tysięcy — ciała palono na rusztach, ustawionych w samym środku podwórca, otoczonego 20 wielkimi celami, z których każda była celą śmierci. Wokół murów po zewnętrznej stronie zachowało się 875 zbiorowych mogił Polaków i 60 zbiorowych grobów żołnierzy radzieckich, którzy stracili życie także w obronie naszej wolności.

W jednej z odnowionych cel stoi skromny pomnik ku czci pomordowanych tu harcerzy. Na białej tablicy czerni się prosty, ale jakże tragiczny napis nieznanego autora:

Polsko!
Tu leżą Twe córy i syny
Wierni Twym prawom
Do ostatniej godziny.
Przechodniu!
Czy nie przeraża cię
tragedia
wymordowanej
młodzieży polskiej?
Powiedz innym,
że zginęliśmy
za Polskę!

Za Polskę — to znaczy także za nas. Oddajmy im więc należny hołd nie tylko w czasie obecnych uroczystości i nie tylko dzisiaj pracujmy nad tym, aby NIGDY WIĘCEJ stało się rzeczywistością.

Jerzy Dostatni

Sztylety w obrazach

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

CHCEMY zburzyć muzea, biblioteki, akademie wszystkich rodzajów, chcemy zwalczać moralizm, feminizm i wszelką oportunistyczną lub utylitarną podłość — oznajmiał w 1909 r. przywódca ideowy futurystów włoskich, Filippo Tommaso Marinetti. Sławiąc wojnę jako *jedyną higienę świata*, zawędrował w końcu Marinetti pod odpowiednio skrojone do potrzeb chwili rzymskie sztandary Mussoliniego. On, który wyrzekał się przeszłości, rzekomo hamującej narodziny nowej sztuki i cywilizacji, podpisał pakt duchowej przyjaźni z wodzem w czarnej koszuli, przywołującym dla rozbudzenia wyobraźni i apetytów tłumu chwałę cesarskiego Rzymu.

Wczesne pragnienia poety, których oczywiście nie wolno przypisywać całemu futuryzmowi, doczekały się, niestety, spełnienia. Ideę burzenia muzeów podjęli sojusznicy faszystowskich Włoch — hitlerowskie Niemcy.

• • •

Od października br. do sierpnia przyszłego roku trwać będzie w Polsce II Międzynarodowa Kampania Muzealna, zainicjowana przez Międzynarodową Radę Muzeów, działającą pod auspicjami UNESCO, która obchodzi właśnie 20-lecie powstania. Warto przy tej okazji przypomnieć kilka faktów z dziejów naszych zbiorów muzealnych w czasie okupacji. Znane wśród ludzi blisko związanych z muzealnictwem, opisane w wydawnictwach specjalistycznych, lecz z rzadka trafiające na łamy gazet i popularnych magazynów dość powierzchownie utrwaliły się, jak sądzę, w świadomości społecznej. Należy je przypominać tym bardziej, że pomimo ogromnych zniszczeń wojennych polskie muzealnictwo posiada dziś poważne osiągnięcia, choć pod względem sieci placówek muzealnych jesteśmy dość ubodzy: wyprzedzają nas nawet mniejsze państwa jak Czechosłowacja i NRD. Braki te są w pewnym stopniu następstwem niszczycielskich poczynań okupanta.

Po opanowaniu kraju Niemcy w pierwszej kolejności zniszczyli nowoczesny gmach muzeum w Katowicach, oddany do użytku niedługo przed wybuchem wojny; taki sam los spotkał znajdujące się w nim dzieła sztuki. Z Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu wyrzucono obrazy Towarzystwa Przyjaciół Nauk i zgromadzono je w jednym z kościołów. „Dziwnym zbiegiem okoliczności" po pewnym czasie zniknęły one bez śladu. Wszystkie pozostałe muzea, znajdujące się na terenach włączonych do Reichu, zamknięto. Niemieckiej pedanterii towarzyszyła tu niezwykła zaciekłość, co zresztą jest jakoś zrozumiałe: na „etnicznie niemieckiej ziemi" każdy ślad polskiej kultury, choćby majaczący w mrokach niedostępnego dla ludzi kościoła obraz, podpisany polskim nazwiskiem, zbyt żywo przypominał o prawdziwej historii tej ziemi, zbyt boleśnie obnażał fałszerstwa hitlerowskiej nauki.

Zamknięto także muzea na pozostałym obszarze kraju, a co cenniejsze dzieła sztuki skonfiskowano, zgodnie ze szczegółowo opracowanym planem, który zakładał zgromadzenie najbardziej wartościowych dzieł w tzw. Führeauftrag Linz — czyli w muzeum Hitlera w stolicy Górnej Austrii. Miały tam znaleźć wieczny spoczynek obrazy, rzeźby i inne przedmioty sztuki zrabowane w podbitej Europie. Nieudany malarz i patron słynnej wystawy sztuki zdegenerowanej — za jaką w Rzeszy uznano twórczość abstrakcyjną i jej pokrewną — jeszcze raz ujawnił swoje skłonności „artystyczne".

Szczególną aktywność w rabowaniu polskich muzeów okazał gubernator Hans Frank. Na jego polecenie zabrano z Muzeum Czartoryskich w Krakowie m. in. „Pejzaż z Miłosiernym Samarytaninem" Rembrandta, „Portret młodzieńca" Rafaela i portret „Damy z gronostajem" Leonarda da Vinci; obraz Rafaela nie wrócił już do Krakowa. O systematyczności, z jaką Frank realizował program rabunku, może świadczyć niewielka książeczka, znaleziona w jego prywatnych apartamentach, w pobliżu Monachium. Jest to ni mniej ni więcej, jak elegancko oprawiony katalog ukradzionych dzieł sztuki.

Gdyby nie bezprzykładne poświęcenie ludzi związanych z naszym muzealnictwem — naukowców, pracowników administracyjnych i technicznych — którzy w miarę ograniczonych możliwości starali się chronić zbiory przed konfiskatą lub zniszczeniem, którzy śledzili transporty zrabowanych zbiorów kierowane na zachód, straty polskiej kultury byłyby znacznie większe. W jakich okolicznościach działali, czego byli świadkami — o tym mówi dramatyczny „Pamiętnik" prof. Stanisława Lorentza, którego fragment opublikowało w ubiegłym roku „Muzealnictwo".

3 sierpnia 1944 r. o godzinie 9, dwa dni po wybuchu powstania, Muzeum Narodowe w Warszawie zostało opanowane przez Niemców. W salach wypełnionych obrazami zapłonęły kuchnie wojskowe, a *żołnierze strzałami z łuków ze zbrojowni poprzebijali w 31 miejscach wielki „Portret Krasińskiej" Winterhaltera; został również pocięty kindżałem w 6 miejscach, a kindżał tkwi jeszcze w jednym z przecięć... sztyletami czy kindżałami uszkodzono kilka innych obrazów*. Dewastacja zbiorów poprzedziła przygotowania do rabunku. 7 września o godzinie 8 dziesięciu żołnierzy pod dowództwem esesowca rozpoczęło wybór przedmiotów przeznaczonych do wywozu.

Od początku było dla mnie jasne, że ten delegat Hitlera — wspomina prof. Lorentz — *nie posiada nawet najskromniejszych wiadomości z dziedziny kultury i sztuki... nawet na poziomie szkoły średniej... Przy przeglądzie obrazów dla pośpiechu wyrzucano je z wyższych kondygnacji stojaków na ziemię... wyrywano z zespołu, często przy tym rozdzierając i łamiąc.*

Zbiory muzealne, zrabowane Polsce, ukryto w różnych punktach Niemiec. Po wojnie na ich ślady natrafiano czasami zupełnie przypadkowo. Pozornie błahe, albo przeciwnie — niewiarygodne informacje prowadziły do zaskakujących odkryć i w konsekwencji pozwalały uchronić przed zniszczeniem czy rozgrabieniem — o co w powojennym zamęcie nie było trudno — wiele cennych dzieł sztuki i pamiątek narodowych. Warto tu przytoczyć dzieje pewnego transportu, składającego się z 477 skrzyń, 167 zabytkowych mebli oraz rzeźb, który 23 kwietnia 1946 r. dotarł do Warszawy dzięki wysiłkom prof. Bohdana Urbanowicza.

Po pięcioletnim pobycie w obozach jenieckich, w 1945 r. prof. Urbanowicz znalazł się w Salzburgu, gdzie były plutonowy Jan Maj zameldował mu, że w niezbyt odległym zamku Fischhorn, należącym w czasie wojny do szwagra Hitlera, gen. Vögeleina, widział *skarby królów polskich*. Wyniki wyprawy do zamku okazały się rewelacyjne. W pokojach, zajętych wówczas przez oficerów alianckiej „Błękitnej dywizji", którym towarzyszyła odpowiednia liczba niemieckich czy austriackich pokojówek, tłumaczek i kucharek, znaleziono *fotele, stoliki, kanapki z Belwederu, Białego Domku, Łazienek, z Prezydium Rady Ministrów. U Bradleya (pułkownika) wisi Jan Steen... u Cauma Samuel van Hoogstraeten z Łazienek i „Portret z Lubomirskich Łubieńskiej", u Fr(äulein) Poldi wisi „Portret Orzelskiej.*

Prof. Urbanowicz natychmiast pojechał do Warszawy, a po otrzymaniu pełnomocnictwa do przejęcia kolekcji powrócił do Salzburga. Dzięki wydatnej pomocy kpt. U.S.Army, Charlesa Saattgasta, byłego rektora Instytutu Pedagogicznego, szybko zabezpieczono dzieła sztuki i przygotowano je do drogi.

Przytoczone tu epizody w skromnym tylko zakresie obrazują sytuację polskich zbiorów sztuki podczas okupacji. Wiele innych wypadków miało charakter bardziej dramatyczny, wiele w jaśniejszym świetle ukazało wysiłek i poświęcenie ludzi dla ratowania skarbów kultury narodowej. Najważniejsze przecież, że te wszystkie fakty — istotne i mniej ważne — świadczą o znaczeniu tradycji kulturalnej dla egzystencji narodu, a tym samym uzmysławiają rolę muzeów w ochronie tej tradycji. Świadczą o tym i męstwo, z jakim osłanialiśmy nasze zbiory muzealne, i zaciekłość, z jaką hitlerowcy je niszczyli i rabowali.

Kamena str. 3

Wiersze poetów zza Odry

JOHANNES BOBROWSKI

Mickiewicz

Przed borem dębowym stoję, zamczysko
nieme, świecę
stawiła matka
przed obraz w Ostrej Bramie, na fali
kołyszą się żagle, w dymie,
jastrząb wzleciał
ponad błękit, szkarłatny
wieczór z nim

i czas grodów,
czas ulic, skarpa
Krymu, nad plażą morską kurz, kolasa
przez stepy pędzi Akermanu —

Przywykłem w szczęście,
mówię, to całkiem proste,
myślę, głos mój niesie,
spijam deszcz, składam
na murach głowę,
Paryż, piję niebo
jak usta, widzę,
unoszą wiatry, jastrzębia
nad dębami, fala
wiedzie łuk w dół,
w równiny, dalej,
niżej lotów jaskółczych,
dalej, z rozroszonego ranka
nad wioski napięta
i lasy: dzień,
lśniący gniewem, zbroją —

Nadejdę, prześpiewem
znużon, rozmową, tylko lot
etiudy nad uchem, będę stał
na zboczach, słuchał
wołania i tonu
szukał, drżącymi ustami
mówił: jakie to proste.

HANS CIBULKA

Wiersz

Jestem pomostem
między ciszą a krzykiem.
Wszystko co z sobą
niesie życie
przyjmuję.

Żyłem na marginesie
gdzie wąż się w słońcu wygrzewa.

Niewierności naprzeciw
wyszedłem
i łzom z oblicza ludu.

Znam nocne psy
i słońca połysk.

Znam kurz
z bucików dziecka.

Przestrogą jestem —
cieniem milczącym
u twoich stóp.

Metalem zostałem
i różą.
Każdy mój cierń
to sumienie twoje.

PAUL WIENS

Stwarzanie

Miłość:
światło, pierwsze słowo.
Ja i ty:
rozpoznajemy
siebie
— spalamy
powoli
śmierć dajemy
wam z życiem
— i znów.

INGE MUELLER

Jak

Jak tworzyć wiersze
Głośniejsze niż rannych jęki
Ciemniejsze niż noce głodujących
Bardziej ciche niż oddech z ust do ust
Twardsze od życia
Miękkie jak woda, trwalsza od kamienia?
Jak można nie pisać?

KURT STEINIGER

Jesień

Rok staje się brodaty i włosy
przetyka srebro.
Ciemnymi płatkami pieni się powietrze
ługowane wiatrem, wysuszone słońcem.
Nad morzami przeciągają
sztormy.
Tylko tutaj, gdzie wszystko jest bliskością, tylko tutaj
świat się czerwieni liśćmi,
rękami, które nie kryją przepierek,
pośpiechem w wargach.
I zające koziołkują
i ptaki czarnym sznurem zaciągają niebo
i wieczoru pewnego głos słychać za domem:
Ostatnie jabłko już opada...
Gromadzi się we wszystkich oczach
biała radość.

GUENTER KUNERT

Pamięci Tadeusza Borowskiego

Przed tą wojną
Która powinna być ostatnią z wojen
Urodzony w kraju zwyciężonym i dumniejszym
niż inne:

Polsko
W twoich spętanych ramionach

Uczył się zgody na śmierć
I na przetrwanie w dymach:
Alma Mater Auschwitz
Świat kamienny
W którym serca muszą krzepnąć w granit
A ludzie w popiół.

Pod powiekami
Przeniósł do Warszawy
Widoki piekła.

Dwudziestoośmioletni
U kresu tych przejść
Gdy głazy nie przestawały
Na niego się staczać
Wtoczył się pod swój głaz.

HEINZ KAHLAU

Gdyby

Gdyby człowiek miał matkę,
która by go przyjęła u kresu —
jak matka, która go wydała
na początku —
lekką byłaby śmierć.

Przekłady: **Eugeniusza Wachowiaka**

Notki o autorach

JOHANNES BOBROWSKI urodził się w 1917 roku w Tylży. Studiował historię sztuki. W latach wojny jest żołnierzem. Debiutuje w 1961 roku zyskując sobie szeroki rozgłos. Fascynuje go Słowiańszczyzna. Umiera w 1965 roku w Berlinie (NRD).

HANS CIBULKA urodził się w 1920 roku w Czechosłowacji. W latach wojny jest żołnierzem. Przebywa w obozie jenieckim we Włoszech. Debiutuje w 1954 roku. Mieszka w Gotha.

PAUL WIENS urodził się w 1922 roku w Królewcu. Studiował w Szwajcarii. Jest poetą i tłumaczem. Pisze scenariusze. Jest sekretarzem Berlińskiego Oddziału Związku Pisarzy Niemieckich.

INGE MUELLER urodzona w 1925 roku w Berlinie, gdzie umiera w 1966 roku. Opublikowała kilkanaście wierszy w prasie i w publikacjach zbiorowych.

KURT STEINIGER urodził się w 1928 roku w Czechosłowacji. Debiutuje w 1956 roku. Mieszka w Erfurcie.

GUENTER KUNERT urodził się w 1929 roku w Berlinie. Mieszka tam do dzisiaj. Debiutuje w 1950 roku. Autor kilku tomów wierszy, słuchowisk i scenariuszy.

HEINZ KAHLAU urodził się w 1931 roku w pobliżu Poczdamu. Opublikował kilka tomów wierszy, także w NRF.

NRD, okolice Drezna — Fot. Z. Zugaj

Poezja w NRD

EUGENIUSZ WACHOWIAK

LICZĄCA się literatura niemiecka okresu międzywojennego wyrzucona koniecznością poza obszar brunatnej Rzeszy, w której sterty płonących książek miały być jedynie prolegomeną do stosów ciał składanych wkrótce potem przed piecami krematoriów, święciła w dzień kapitulacji wraz ze zwycięzcami także swój triumf przetrwania.

W maju 1945 roku literatura niemiecka znalazła się w punkcie przecięcia, który otwierał przed nią na nowo wszystkie możliwości przerwane brutalnie w 1933 roku, możliwości powrotu na różnorodne szlaki mozolnych, artystycznych poszukiwań otwierając także zupełnie nowe drogi rozwoju w warunkach społeczno-politycznej przebudowy. Okres ciężkich oskarżeń, jakimi świat obarczał nie tylko zbrodniarzy, lecz także naród niemiecki, przynajmniej w granicach odpowiedzialności moralnej, wywołał wśród wielu pisarzy reakcje pokutne, które przyjmowali oni na siebie nie będąc sprawcami i wbrew sprawcom, którzy win własnych uznać nie chcieli.

Pragnieniem powojennej literatury niemieckiej było, aby możliwie rychło znaleźć się w wielkiej rodzinie narodów świata jako partner równorzędny, aby zasiąść z nimi przy jednym stole. Pisarze NRD postawili na potępienie przeszłości, uznanie nowego status quo i czynne zaangażowanie po stronie społecznej lewicy. Warunki, w których taka postawa mogła liczyć na pełne poparcie, zostały stworzone jedynie w jednej części Niemiec. Nie oznacza to, że i w Niemieckiej Republice Federalnej takie tendencje nie znajdowały zwolenników, lecz znalazły się one w absolutnej izolacji.

NRD utworzyła szeroki front natarcia. Celem była zmiana psychiki pewnej części narodu, przekształcenie świadomości w narodzie, który doświadczając także skutków wojny był gotów spojrzeć krytycznie na miniony okres. Pomóc w tym miała literatura zaangażowana jako składnik partyjnej propagandy. Trzeba wniknąć w warunki, w jakich wyrastała NRD, a także zrozumieć mentalność pewnej części Niemców, aby stwierdzić słuszność takiego pociągnięcia. Najważniejszym zadaniem literatury NRD była jej społeczna pożyteczność, co należało rozumieć jako aktywną realizację polityki SED w dziedzinie kultury.

W latach tuż powojennych zaczynają wracać do Radzieckiej Strefy Niemiec, a od 7.10.1949 do proklamowanej Niemieckiej Republiki Demokratycznej pisarze, którzy przeżywali okres brunatnego panowania na emigracji. W nurt przemian zaczynają się także włączać ci, którzy milcząc żyli w hitlerowskich Niemczech. Karty postępowej literatury niemieckiej były zapisane wierszami kilku głośnych nazwisk, które stały się pierwowzorem.

Wracając z jenieckich obozów młodzi ludzie szukający ujścia dla swoich przeżyć w próbach literackich mogli przy dobrej woli z owego przykładu korzystać. Młoda literatura nie powstawała więc w próżni. Wokół rdzenia, jaki stanowili wielcy emigranci, zaczęła ona wyrastać i owocować. Doświadczenia przegranej zmuszały do zastanowienia. Powstają wiersze rozrachunkowe, antywojenne, wiersze deklarujące poparcie dla młodej Republiki i przyjaźń dla zwycięzców. Pojawia się w nich także inny akcent: zwrócenie uwagi na fakt, że ofiarami faszyzmu byli także Niemcy. Nie ujawniały te wiersze wyszukanej formy artystycznej chociaż, o czym nie można zapomnieć, powstało w tym okresie kilka utworów o nieprzemijającej trwałości. Batalia o pozyskanie człowieka była rozgrywana w NRD z użyciem literatury. Wymagało to, oczywiście, podniesienia poziomu powstających utworów. Zostaje powołany do życia Instytut Literacki im. J. R. Bechera w Lipsku. Uczelnia przyjmowała debiutantów i poszerzając zasób ich wiedzy dbała także o odpowiednie ukierunkowanie ich twórczości.

Z upływem lat poezja NRD wzbogaca się coraz bardziej. Zawarte są w niej akcenty liryki osobistej, liryki intymnej, noszącej wyraźne piętno indywidualności twórcy. W latach sześćdziesiątych pojawiają się w niej nawet pewne symptomy krytycznego spojrzenia na twórczość starszych kolegów. Roczniki debiutujące wnoszą już znaczną różnorodność wypowiedzi i form artystycznego kształtowania poetyckiej materii. Krytyka nie dotyczyła oczywiście postaw ideowych i politycznych. „Druga powojenna młodzież" atakowała deklaratywność i retoryczność w poezji średniej generacji starając się pójść w kierunku przezwyciężenia drobnomieszczańskiej mentalności w społeczeństwie i pogłębienia poetyckiego zapisu. Była to poezja tworzona już w zasadzie przez młodzież, która zasady marksistowskiej estetyki poznawała w uniwersyteckich ławach. Twórczość ta była aktem ugruntowanym świadomym zamiarem. Wyczuwa się próby przerzucenia pomostów do twórczości poetów niemieckich pierwszego ćwierćwiecza.

Ten okres w poezji NRD trwa nadal. O ile średnia generacja zdaje się odchodzić od poezji i przechodzić do prozy oraz do innych form literackiej wypowiedzi, co jest normalnym zjawiskiem rozwoju, młodzi podkreślają własną obecność choćby w almanachach, jakie się ostatnio w NRD ukazały. Śledząc twórczość tych „wnucząt" można przypuszczać, że zaspokoją oni nasze zainteresowania najbliższymi tomami, w których odezwie się ich pełniejszy głos.

Ankieta „Kameny" wśród pisarzy (3)

50 LAT LITERATURY RADZIECKIEJ

Szlakiem poezji

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Kak sołnce woschodit raz w sutki,
Woschodit w krowi mojej strast...
i dalej:
Ja mołod, otdajsia mnie, sołnce,
Otdajsia wsia zieleń, wsia siń,
Otdajsia otdaczej swiatyń...

PARADOKS. Tym wierszem egofuturysty, zapomnianego już dziś prawie Igora Siewierianina powitałem rewolucję rosyjską. To ona była tym słońcem wschodzącym wraz z namiętnością we krwi, to ona — młoda wzywała, aby się jej wszystko i wszyscy oddali. I właśnie ten trzeciorzędny poeta, indywidualista i emigrant, odsłonił mi piękno nowej poezji rosyjskiej.

Był rok 1917. Dwudziestoletni chłopak, co w szkole zaborczej znienawidził wiersze, pisane w języku carskich urzędników, którzy w mundurach nauczycielskich uczyć mu się ich na pamięć kazali, nagle doznał objawienia: przecież ta apologia młodości i ten zestaw dźwięcznych słów są piękne i nie tylko dlatego, że ludzie mówiący tym językiem zrzucili cara i że język jest taki melodyjny, ale dlatego, że poezja jest zawsze poezją bez względu na to, w jakiej mowie zniewala czytelnika. A potem przyszedł Briusow: *Kamienszczik, kamienszczik w fartukie biełom. Czto ty tam stroisz, komu?* To już naprawdę był wiersz rewolucyjny, choć pisany jeszcze przed wojną japońską.

Wróciłem do Polski nie wiedząc, że już wtedy tworzyli lub zaczynali tworzyć moi ulubieni poeci. Ba, nie wiedziałem nawet, jak się nazywają. Ale dotarli do mnie już w kraju, przemawiając najpierw mniej lub więcej udanymi przekładami. Poznawałem nowe nazwiska, nowe wiersze, nową poetykę.

Zaczęło się od Błoka. Nie od „Dwunastu" zaraz i nie od „Scytów". Od symbolicznej „Nieznajomej", od „Kroków komandora", od przejmujących utworów ze „Strasznego świata" i „Odwetu", od przedziwnie wyrażonej antynomii dwóch światów — ułudy i rzeczywistości w niezrównanym „Ogrodzie słowiczym". Upijałem się Błokiem, bredziłem jego wierszami, porałem się z nimi, by je wysłowić w naszym języku. Któż wtedy zresztą z mojego pokolenia nie ulegał czarowi tej poezji? Błok był chorobą, przez którą w ten czy inny sposób przejść musiał każdy piszący wiersze. I choć zjawili się Majakowski i Jesienin, choć zaczęli z kolei rzucać uroki jakże innej nowej poetyki, nie potrafili przyćmić świetnego blasku „Aleksandra II rosyjskiej poezji".

Imażynistów odkrył mi Zawodziński artykułem „Z ruchu literackiego w Rosji", zamieszczonym w r. 1922 w „Przeglądzie Warszawskim". Wkrótce zdobyłem u Strakuna i Gebethnera i Wolffa różne berlińskie antologie w kieszonkowym formacie, poezje Kusikowa i Jesienina. No tak, Jesienin podbił mnie od razu. Zawodziński cenił go bardzo wysoko uważając za jednego z najwybitniejszych poetów, a i Żeromski, który w „Snobizmie i postępie" nie szczędził krytycznych i bardzo surowych sądów o nowej poezji rosyjskiej, Jesienina określił jako „prawdziwego poetę, jednego z najgenialniejszych".

Zaczęła się moja druga miłość. Nie zdradziłem pierwszej, nie odszedłem od Błoka, który wciąż mi był bliski, ale Jesienin urzekał inością — tematyką wiejską, pejzażem pól, łąk i lasów, śmiałym nieoczekiwanym obrazowaniem, najczystszym liryzmem i świeżością swego talentu. I wśród moich rówieśników poetyckich po Błokowskiej wybuchła nowa epidemia. Ileż tłumaczeń Jesienina i jakich przednich, ile motywów i nastrojów Jesieninowskich u wybitnych poetów! Był i Majakowski oczywiście. Najpierw „Obłok w spodniach" w świetnym przekładzie Tuwima, jego rewolucyjne poematy w tłumaczeniu Sterna i Jasieńskiego. Był i wpływ jego na niektórych naszych poetów, zwłaszcza radykalnych, ale chyba ogólnie biorąc Jesienin cieszył się większą popularnością.

Wreszcie Pasternak. Ten najtrudniejszy zarówno w czytaniu, jak i tłumaczeniu, wobec którego czuło się respekt, którego się podziwiało, czując jednak dystans, który nie dzielił od jego wielkich poprzedników. Pasternak był tylko dla wybranych. Młoda polska poezja nie przechodziła odry pasternakizmu, jak to było z Błokiem, Jesieninem i Majakowskim. Bardzo nieliczne podźwięki jego poetyki można by znaleźć w naszych ówczesnych wierszach — może w niektórych przedwojennych utworach Jastruna.

Ale mówiąc o poezji radzieckiej tamtych czasów, nie wolno pominąć świetnych poetów ukraińskich i białoruskich. Tyczyna — pierwszy był bardzo popularny i chętnie tłumaczony, dopiero później zdystansował go Rylski, krwią związany z polskim narodem, najwspanialszy tłumacz „Pana Tadeusza". A Tank, ten doskonały poeta białoruski, który rozpoczynał swoją twórczość w przedwojennym Wilnie, który tak świetnie malował pejzaż Naroczy, krzywdę ludu i historyczne powiązania losów polskich i białoruskich w powstaniu styczniowym — w osobie rewolucyjnego przywódcy ludu białoruskiego Kalinowskiego?

Ale o poezji radzieckiej można by nieskończenie. I o tej najmłodszej, tak odmiennej w swych talentach, zainteresowaniach, próbach i osiągnięciach, tak różnorodnej w nowatorstwie i eksperymentowaniu — od mocnej, męskiej muzy Wozniesienskiego, Okudżawy, Jewtuszenki czy Winokurowa do pełnej subtelnych odcieni liryki Matwiejewej, Achmaduliny, Kazakowej czy Kostenki.

Eksperymentowanie i nowatorstwo. Tak, młodzi poeci radzieccy szukają nowych dróg: nie byliby młodzi, gdyby było inaczej. Szukają i znajdują nieraz szczęśliwie, ale nigdy, że użyję tu niezbyt wytwornego wyrażenia — nie przeginają pałki. Przy swym awangardyzmie i nowoczesności nigdy nie są hermetyczni, nie przestają być komunikatywni. Zawsze myślą o tych rzeszach czytelników, dla których piszą, a nie o garstce wtajemniczonych. Stąd ich olbrzymia popularność w Związku Radzieckim. A pisząc pięknie i zrozumiale nigdy nie zapominają o zasadniczym temacie ich twórczości. Tytuł poematu Majakowskiego „Człowiek" mógłby być mottem dla wszystkich nurtów poezji radzieckiej. Jest ona jak najbardziej humanistyczna. I to drugi powód jej uznania wśród czytelników

Świadectwa socjologiczne

JACEK BOCHEŃSKI

MYŚLĘ, że tym najcenniejszym wkładem do kultury współczesnej, o który pyta „Kamena", są świadectwa socjologiczne, zawarte w literaturze radzieckiej. Innymi słowy, zdaje mi się, że świat najwięcej zyskał z tego, co mu pisarze radzieccy potrafili zakomunikować o swoim społeczeństwie, o swojej rewolucji, ustroju. Takiego zdania nie można by np. wygłosić o literaturze francuskiej. Jednak w Związku Radzieckim dominuje pogląd, że celem literatury jest właśnie „odbijanie" rzeczywistości społecznej, a nie sztuka sama przez się. I oto cóż się, moim zdaniem, okazuje? Literatura radziecka „per saldo", niezależnie od wszelkich istotnych skądinąd nieporozumień, osiągnęła to, o co jej w zasadzie szło. Jej wartość dla świata polega na jej świadectwach.

Dlaczego tak jest? Po prostu dlatego, że w Związku Radzieckim dzieją się od pięćdziesięciu lat rzeczy bardzo ważne, nowe i nie znane światu. Zakres tematów, sposób ich ujęcia, ton i wszelkie inne pogłosy tych poruszających świat zjawisk są źródłem informacji, zaspokajają ciekawość i zasilają wiedzę świata.

Ale „Kamena" pyta również *jakie wartości literatury radzieckiej posuwają naprzód rozwój współczesnych form artystycznych.*

Zasadniczo ani Babel, ani Szołochow, ani Sołżenicyn nie dokonali żadnych odkryć formalnych. Są jednak świetnymi pisarzami, ponieważ poinformowali czytelników o pewnych sprawach, które, jak widać, były tak nowe, że można je było jeszcze opisać starymi sposobami.

I ostatnie pytanie „Kameny": *czy określone zjawisko tej literatury odegrało jakąś szczególną rolę w moich poszukiwaniach ideowo-artystycznych oraz dlaczego?* Tak, zapewne odegrało w mojej wczesnej młodości, ale sądzę, że owocny jest tylko taki stosunek do wpływów literackich z zewnątrz, kiedy pisarz we własnej twórczości potrafi je raczej przezwyciężyć, niż im ulec.

Orientalista z konieczności

ADAM ANDRZEJ WITUSIK

„Jest cudem: mówi on dobrze po grecku, turecku, niemiecku, łacinie, tatarsku, polsku i uczy się po arabsku". (Józef Just Scaliger)

BEZPOŚREDNIE sąsiedztwo Rzeczypospolitej szlacheckiej ze światem turecko-tatarskim, ożywione stosunki dyplomatyczne, handlowe i częste konflikty militarne zmuszały Polaków do interesowania się polityką oraz sprawami wojskowymi Turcji i Krymu.

W XVI i XVII wieku w Polsce najwięcej uwagi sprawom Wschodu poświęcali Zbarascy, Zamoyscy, Koniecpolscy, Wiśniowieccy, Żółkiewscy, Lubomirscy, Potoccy, Sobiescy. Było to zainteresowanie typu praktycznego. Posiadając na południowo- wschodnich kresach Rzeczypospolitej olbrzymie fortuny — na terenach, które prawie corocznie były nawiedzane przez zagony tatarskie — musieli z konieczności znać swego kłopotliwego sąsiada. Magnateria południowo-wschodnich ziem Rzeczypospolitej uprawiała więc pewnego rodzaju „mecenat orientalistyczny". Na przykład na dworze wojewody krakowskiego, Stanisława Lubomirskiego, a później jego syna Jerzego, przebywali Marcin Maszkowski, autor pierwszego samouczka języka tureckiego, Samuel Otwinowski, najwybitniejszy orientalista Polski przedrozbiorowej, Sefer Toliński, tłumacz z języków wschodnich. W kręgu kanclerza wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego znajdowali się Jan Dzierżek, znawca języków orientalnych, Piotr Ciekliński, sekretarz królewski, głośny ze swoich wypraw do Turcji i Włoch, oraz Jan Szczęsny Herburt, który między innymi posłował w imieniu Jana Zamoyskiego do Stambułu, skąd przywiózł mu liczne kodeksy greckie. Na „stypendium naukowym" hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego przebywał w Turcji dla nauki języków wschodnich niejaki Szymański. Tego typu przykłady można by mnożyć.

Nie jest więc rzeczą przypadku, że człowiek koncepcji i czynu, jakim był niewątpliwie hetman i kanclerz wielki koronny Jan Zamoyski, zadbał o to, aby jego syn Tomasz, jedyny spadkobierca sławy i fortuny, poznał języki wschodnie, przydatne zarówno w polityce jak i w wojsku.

Tomasz Zamoyski urodził się w kwietniu 1594 r. Mając lat osiem przeszedł w ręce pedagogów i rozpoczął nauki. Nauczycielami jego byli między innymi Szymon Szymonowic, Adam Burski, Szymon Birkowski, Tomasz Drzewicz. Po ukończeniu studiów w Akademii Zamoyskiej i po odbyciu peregrynacji zagranicznych znalazł się młody Zamoyski natychmiast w orbicie władzy: w 1618 r. został wojewodą podolskim, w 1619 r. — wojewodą kijowskim, w 1628 r. — podkanclerzem wielkim koronnym, a w 1635 r. — kanclerzem wielkim koronnym.

Języka tureckiego uczył się od „pierwszej klasy". „Uczę się wokabuł (słówek — A. W.) łacińskich, greckich, tureckich, polskich i umiem ich nie mało" — pisał do ojca w jednym ze swych pierwszych listów. Znał też inne języki. Orientalista francuski Józef Just Scaliger tak pisał o Tomaszu Zamoyskim: „jest cudem: mówi on dobrze po grecku, turecku, niemiecku, łacinie, tatarsku, polsku i uczy się po arabsku". Nauczycielem języków wschodnich Tomasza Zamoyskiego był Jan Iwaszkowicz, Ormianin, profesor Akademii Zamoyskiej. Możliwe też, że przez „dwoje lecie" nauczycielem języka tureckiego Tomasza był również wspomniany w liście Jana Zamoyskiego do Samuela Knuta „siostrzeniec pana Dzierżka".

Nie wiemy, z jakich podręczników korzystał Tomasz Zamoyski przy nauce języków wschodnich, możemy natomiast stwierdzić, jakie było źródło znajomości praktycznej tych języków. Znamy co najmniej dwie osoby, z którymi Tomasz Zamoyski prowadził konwersację w tych językach. Byli to: wspomniany już Jan Iwaszkowicz oraz przebywający w niewoli polskiej, późniejszy chan, Islam Girej. Nie ulega również najmniejszej wątpliwości, że konwersatorami Tomasza byli także ludzie z jego „służby orientalnej".

Znajomość języków wschodnich Tomasza Zamoyskiego była dość głęboka. Świadczy o tym adresowany do niego list profesora Akademii Zamojskiej Melchiora Stefanowicza, w którym pisał: „Pan Młodzianowski Tatary pod Dunajewem gromiąc, wzdobył się na książkę po arabsku pisaną, która z zanadra wypadła postrzelonemu Tatarzynowi i odesłał ją JMci ks. arcybiskupowi (lwowskiemu, Andrzejowi Prochnickiemu — A. W.). JMć zaś WMci swemu miłościwemu panu posyła, jako świadomemu tego języka. We wszystkim Lwowie nie mogliśmy się zdobyć na interpretem tych mądrości tatarskich, niektórzy Ormianie domyślali się, jakoby to miały być modlitwy ich".

Znajomość języków umożliwiała Tomaszowi Zamoyskiemu lekturę w oryginale dzieł uczonych i myślicieli świata turecko-tatarskiego. Dzięki tej lekturze myśl orientalna wkraczała do jego świata pojęć, rozszerzała jego horyzonty myślowe.

W latach 1615—1617 młody ordynat odbywał peregrynacje zagraniczne po Europie zachodniej. I nawet tutaj styka się ze sprawami turecko-tatarskimi. Będąc na przyjęciu u wicekróla neapolitańskiego, otrzymał od niego dwóch szlachciców polskich, dawnych galerników tureckich, od których niewątpliwie dowiedział się wiele o świecie turecko-tatarskim.

Tomasz Zamoyski po powrocie z podróży zagranicznych wyruszył na Podole do obozu hetmańskiego pod Osyninem, aby walczyć z Tatarami. Przeciwnik nie był mu obcy — potykał się z nim w 1612 i 1613 r. Tomasz zdawał sobie doskonale sprawę, że nie był to wróg, którego można by lekceważyć, zasługiwał on raczej na maksimum wysiłku i uwagi.

Około 20 września 1618 r. przekroczyli granice Rzeczypospolitej Tatarzy budziaccy pod dowództwem Kantymira. Nieco później od Kantymira wkroczyli na terytorium Rzeczypospolitej Tatarzy krymscy. 28 września zjednoczone siły Tatarów budziackich i krymskich uderzyły na obóz polski pod Oryninem. „Nastąpił potężnie nieprzyjaciel... — pisał sługa Tomasza Zamoyskiego — próbując wprzód na prawem skrzydle..., widząc (jednak — A. W.) dobrą w tem tam skrzydle potęgę, porzucił ich, a na lewe skrzydło na tę górę gdzie pan z swemi ludźmi stał obozem, z wielkim impetem wszystką swą potęgę obrócił... Poczęły były siły pańskie wątleć... Uwiedziony żalem i miłością, w jakiej z sobą żyli, przeciwko panu książę Krzysztof Zbaraski koniuszy koronny i z inszemi panięty, posłał na posiłek 200 koni swoich... Przysłał i hetman Żółkiewski chorągwie dwie usarskie..." Tatarom nie udało się rozbić szyków polskich — w nocy uszli spod obozu polskiego, rozpuszczając swe zagony po południowo-wschodnich terenach Rzeczypospolitej. Zdaniem biskupa przemyskiego Pawła Piaseckiego ordyńcy uprowadzili wówczas „blisko 30 000 zabranych w niewolą ludzi".

Okazją do pogłębienia wiadomości o Krymie i Turcji stało się dla Zamoyskiego wzięcie do niewoli polskiej w 1620 r. wspomnianego już późniejszego chana Islam Gireja. Między Islam Girejem a Tomaszem Zamoyskim nawiązała się nić porozumienia, a nawet przyjaźni. Sługa Tomasza Zamoyskiego, Stanisław Żukrowski, tak pisał na ten temat: „Był ten więzień... u pana Hermelausa Ligęzy podskarbiego naonczas koronnego... O nim wiedząc pan Zamoyski... częstokroć onego więźnia do siebie przywoływał, u stołu swego blisko boku sadowił, o sprawach wojennych rozprawiał; którą ludzkością tak ono panie pogańskie zachęcone, smakując sobie mądrość i dzielność pańską, prosił króla JMci, aby był przy nim, nie przy panu podskarbim". Tomaszowi Zamoyskiemu, wówczas już podkanclerzemu koronnemu, rozmowy z Islam Girejem przyniosły wybitne korzyści. Obok bowiem lepszego poznania języka zdobył on również duży zasób wiedzy o świecie turecko-tatarskim.

Tomasz Zamoyski posiadał własny wywiad na Wschodzie. „Miewał swe śpiegi — pisał jego sługa — i w Krymie i tu w Białogrodzie, od których miewając wiadomości częste o gotowaniu się wojsk tatarskich na wojowanie państw koronnych, dawał królowi przestrogi swe, aby wojska kwarcianego przyczynić kazał większą liczbę i o całości państwa swego myślał".

Zamoyski wykazywał wiele troski o zabezpieczenie stale płonącej granicy południowo-wschodniej. Przejmujące są zwłaszcza jego listy i uniwersały, w których prosił króla i Rzeczpospolitą o środki do jej obrony. Na służbie u Tomasza Zamoyskiego, jako dowódca jego oddziałów prywatnych, był nie kto inny jak sławny zagończyk Stefan Chmielecki.

Dla człowieka interesu, jakim był niewątpliwie ojciec Tomasza Zamoyskiego — Jan, jak i dla niego samego, Wschód to także obszar penetracji handlowych. Stolica Ordynacji Zamoyskiej — Zamość, była nastawiona przede wszystkim na handel wschodni. W handlu tym Zamość skutecznie konkurował ze Lwowem. Był bowiem w lepszej sytuacji, ponieważ znajdował się pod czułą opieką dziedziców Ordynacji, głównie Jana i Tomasza Zamoyskich, którzy specjalnymi przywilejami i postanowieniami stwarzali miastu nadzwyczaj dogodne warunki rozwoju. Nie bez znaczenia był również fakt, że posiadłości ordynatów graniczyły z Mołdawią. Przez Zamość przewijali się między innymi Ormianie, Grecy, Turcy, Persowie. Przywozili oni do Zamościa poszukiwane kobierce perskie i tureckie, kosztowną broń, wyroby złotnicze, klejnoty, wschodnie skóry, siodła, korzenie, barwniki, wina, cenne leki wschodnie, jak „sadło krokodylowe" i „sadło strusie", wreszcie cenione wysoko konie tureckie. Tu, w Zamościu na początku XVII wieku Ormianin Murat Jakubowicz, pochodzący z Kaffy, produkował skóry safianowe i kobierce „more turcico". Za życia Jana i Tomasza Zamoyskich gmina ormiańska w Zamościu przeżywała okres rozwoju i świetności. Między innymi w latach 1626—1633 stanął tu okazały kościół ormiański, do wybudowania którego znacznie przyczynił się finansowo Tomasz Zamoyski.

Obfitość towarów orientalnych sprowadzanych do Zamościa, kontakt z poselstwami z Turcji czy Krymu, lektura w oryginale dzieł uczonych i myślicieli świata turecko-tatarskiego wpływały na mentalność, upodobania i skłonności, na strój i kuchnię, na styl życia Tomasza Zamoyskiego. Wpływ Orientu wyraził się najmocniej w kuchni oraz w zamiłowaniu do przepychu, okazałości i koni tureckich. „Pomarańcz 10 posyłam ci — donosiła na przykład Tomaszowi Zamoyskiemu w swym liście matka — Soku cytrynowego dla przysmaku posyłam ci: zdrów jadaj z nim pieczyste, po kąsku biorąc na przystaweczkę, w szafce go swej miej".

Zainteresowania Tomasza Zamoyskiego światem turecko-tatarskim miały charakter przede wszystkim utylitarny. Należąc do elity władzy w państwie, którego jednym z ważniejszych zagadnień był problem turecko-tatarski, posiadając na dodatek na terenach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej swoje majętności, na terenach, które prawie corocznie były nawiedzane przez zagony tatarskie, Tomasz Zamoyski z konieczności musiał interesować się polityką i militariami Turcji i Krymu. Nie było więc zbyt dużej przesady w słowach biskupa płockiego Stanisława Łubieńskiego, gdy oddając królowi pieczęć wielką koronną po śmierci Tomasza Zamoyskiego stwierdzał: „Nie rychło podobno takiego urzędnika, tak godnego senatora, tak wiele języków umiejącego, tak w polityce wyćwiczonego usłyszy ta izba kanclerza".

„Chcę wolności całego narodu"

(Dokończenie ze str. 1)

Równocześnie król, aby uchronić Kościuszkę przed zemstą hetmana, posiadającego jeszcze nad podkomendnymi prawo życia i śmierci, ponownie wyprawił Tadeusza z kraju.

Przez Kraków, Drezno i Paryż udał się do Ameryki Północnej, aby walczyć o wolność kolonii angielskich. Od 18 października 1776 r. jako inżynier w stopniu pułkownika pracował przy obwarowywaniu Filadelfii. Przydzielony do armii północnej gen. Gatesa, z natury nieśmiały i uprzejmy, został zmuszony przez bezpośredniego dowódcę pułkownika Baldwina do wykonania narzuconych planów fortyfikacji Ticonderogi, wnet zdobytej przez Anglików. Niebawem dzięki trafnemu wyborowi i umocnieniu pozycji Kościuszko przyczynił się do kapitulacji armii Bourgoyne'a pod Saratogą (17 października 1777 r.), za co w sprawozdaniu do Kongresu Waszyngton nazwał Kościuszkę „człowiekiem wiedzy i zasług". W latach 1778—1780 z innymi inżynierami kierował obwarowaniem brzegów Hudsonu pod West Point. Zachowała się nazwa „ogródek Kościuszki", nadana miejscu nad rzeką, gdzie wypoczywał po pracy, oraz pomnik ku jego czci wystawiony w kształcie kolumny przez młodzież powstałej tam później, również z jego sugestii, akademii wojskowej.

Po wziętym do niewoli w marcu 1780 r. szefie korpusu inżynierów, generale Du Portail, według starszeństwa powierzono Kościuszce kierownictwo. Na własną prośbę przeniesiony od armii południowej gen. Greena, wiosną 1781 r. podczas bezskutecznego oblężenia forteczki Ninety Six został ranny. Z kolei rok cały prowadził roboty ziemne przy blokadzie miasta Charlestown. Losy wojny rozstrzygnęły się na froncie północnym bitwą pod Yorktown (1781 r.). Po zawarciu pokoju Kościuszko awansował na generała brygady, otrzymał sto akrów ziemi i został przyjęty do Stowarzyszenia Cyncynatów, skupiającego oficerów amerykańskich, którzy co najmniej trzy lata walczyli o niepodległość. Stany Zjednoczone generał opuścił w drugiej połowie lipca 1784 r., a z końcem sierpnia przejazdem bawił w Paryżu.

Po powrocie do kraju parę miesięcy przebywał na dworze swego opiekuna Adama Czartoryskiego. Zawiodły starania o umieszczenie w wojsku, gdyż Kościuszko jako klient „familii", skłonnej do detronizacji Stanisława Augusta, nie mógł wtedy liczyć na poparcie króla. Powrócił więc do rodzinnych Siechnowicz, którymi pod jego nieobecność zawiadywała jego siostra Anna Estkowa, zasilając go gotówką przekraczającą wartość wioski, przynoszącej około tysiąca zł dochodu rocznego. Gospodarował więc na 33 włókach tradycyjną siłą pańszczyźnianą z około 30 chat. W poddaństwie chłopów dostrzegł przyczynę zobojętnienia ludu na sprawy krajowe. Z doświadczeń amerykańskich i staropolskich wysnuł obliczony na szybką realizację plan powołania do obrony Rzeczypospolitej milicji terenowych, podobnie jak kawalerii narodowej z szlachty — towarzyszy, oraz mieszczan i chłopów w drugim szeregu jako pocztowych. Musztrę ograniczał do nauki strzelania i najprostszych obrotów.

Po uchwale Sejmu Czteroletniego o powiększeniu wojska do stu tysięcy, dzięki poparciu sejmiku brzeskiego, Czartoryskiego, a nawet Ludwiki z Sosnowskich Lubomirskiej, z którą łączyła go dozgonna przyjaźń, jesienią 1789 r. został przedstawiony królowi do nominacji. Zrazu przydzielony jako generał major do dywizji wielkopolskiej, w połowie 1790 r. przeniósł się do dywizji małopolskiej. Od lipca do połowy września tego roku kwaterował w Lublinie, w pobliżu swego stryja Jana, gospodarującego na Sławinku. Z kolei do lata 1791 r. przebywał w Międzybożu na Podolu. Zdaniem ówczesnego dowódcy, księcia Józefa Poniatowskiego, wyróżniał się „gorliwością i czynną pracą w spełnianiu obowiązków". Równocześnie, jak zauważył poseł angielski Hailes, „prostotą i popularnością w obejściu... zjednał sobie miłość i przywiązanie żołnierza". W tym czasie konkury o chorążankę żydaczowską, Teklę Żurowską, z powodu sprzeciwu jej ojca skończyły się rekuzą, która tym razem u 45-letniego amanta przeszła bez większego wrażenia, a bogdanka wyszła za młodszego kolegę Kościuszki — Karola Kniaziewicza.

W kampanii 1792 r. w obronie Konstytucji 3 Maja generał wziął udział jako dowódca jednej z trzech dywizji, wchodzących w skład armii ks. J. Poniatowskiego. Pierwszą próbą ogniową talentów dowódczych Kościuszki była obrona umocnionych stanowisk nad Bugiem pod Dubienką (18 lipca). Na czele 5 300 żołnierzy i 10 dział walczył przez 5 godzin przeciwko korpusom generałów Kutuzowa i Dunina (25 tys. ludzi, 56 dział). Wobec obejścia przez Rosjan tyłów pozycji przez granicę austriacką, musiał wycofać się z pola walki. Bitwę w zwycięstwo przeobraziła propaganda „familii", wysuwająca Kościuszkę na wodza narodowego w chwili, gdy król przeszedł na stronę Targowicy.

Kościuszko, podobnie jak wielu patriotów, podał się do dymisji, którą otrzymał w stopniu generała lejtnanta. Za twórcami reform trzeciomajowych wyemigrował do Lipska. Podzielał ich przekonanie o potrzebie ratowania ojczyzny i zmazania orężem hańby dwu rozbiorów. Od przedstawicieli sprzysiężenia krajowego, przybyłych do Lipska, przyjął ster przyszłego powstania narodowego. Pomocy dlań szukał w rewolucyjnej Francji, walczącej z dwoma zaborcami Polski. Jego dawniejsze studia w Paryżu, nadane mu w 1792 r. przez Zgromadzenie Prawodawcze honorowe obywatelstwo francuskie, sława uczestnika walk o niepodległość Stanów Zjednoczonych i Polski, miały mu ułatwić rokowania z rządem rewolucyjnym.

Polegając na uchwale Konwentu z 19 listopada 1792 r., zapewniającej „w imieniu narodu francuskiego... braterstwo i pomoc wszystkim ludom, które chcą odzyskać wolność", Kościuszko w styczniu 1793 r. udał się do Paryża z projektem utworzenia koalicji antyrosyjskiej. Dla pozyskania rewolucjonistów przyrzekał wprowadzenie w Polsce ustroju republikańskiego, zniesienie senatu i episkopatu, zrównanie stanów, nadanie praw obywatelskich płatnikom podatków oraz wypowiedzenie wojny trzem zaborcom. W zamian liczył na francuską odsiecz od strony Krymu. Wobec niepowodzeń wojennych w Holandii, minister spraw zagranicznych Lebrun dla ulżenia Francji zachęcał do powstania w Polsce. Czołowi politycy Góry, Danton i Marat, nie mieli nic przeciwko zaspokojeniu zaborczości Prus nowymi nabytkami nad Wisłą. Wobec nęcącej perspektywy zawarcia pokoju z Prusami Robespierre uważał, że sprawa polska w ogóle nie zasługuje na uwagę. Odmówił zasiłków insurekcji, jakkolwiek równocześnie miliony rzucał nad Bosfor, choć Turcy nie myśleli ani o wprowadzeniu rewolucyjnych porządków, ani o dywersji na rzecz Francji. Polakom natomiast przypadło w udziale odciągnięcie około 70 tysięcy żołnierzy koalicji z frontu francuskiego.

Latem 1793 r. wracając do Saksonii pod wrażeniem zarówno okropności jak i skuteczności terroru rewolucyjnego, Kościuszko wiózł co najwyżej grzecznościowe frazesy. Sprawę wyjaśnili jakobini uchwałą Konwentu z 13 maja 1793 r., uchylającą dawniejszą deklarację żyrondystowską o niesieniu pomocy uciśnionym narodom. W tym względzie, jak się wydaje, polityka robespierrystów była bardziej uczciwa od fanfaronady Żyrondy. Milczącą zgodę na drugi rozbiór Polski wybitny znawca Rewolucji, Alfons Aulard, wyjaśnia „wskazaniami najbardziej egoistycznymi i najbardziej cynicznymi, jakie mógł podszepnąć interes narodowy". W tym sensie wypowiedział się również historyk wojen rewolucyjnych, Artur Chuquet, twierdząc, że „sprawa polska ocaliła armie francuskie od pewnej katastrofy, gdyżż Prusacy dali nieznaczną tylko pomoc Austriakom, zakrawającą na kpiny". Znaczenie dywersji polskiej w latach 1792—1797 wcześniej określił F. Engels: „Polska upadła, ale jej opór uratował rewolucję we Francji".

Z początkiem września 1793 r. podczas spotkania z patriotami warszawskimi pod Krakowem Kościuszko oświadczył: „Za samą szlachtę bić się nie będę. Chcę wolności całego narodu". Uznawszy stan przygotowań za niewystarczający, odroczył termin powstania. Wobec ustalonej na 15 marca 1794 r. przez generalność grodzieńską redukcji wojska, brygada kawalerii Madalińskiego ruszyła 12 marca z Ostrołęki na Kraków, czym przyśpieszyła wybuch powstania. Na rynku krakowskim 24 marca ogłoszono Kościuszkę „najwyższym i jedynym naczelnikiem", poruczając mu obronę „wolności, swobód i niepodległości Ojczyzny". Wyposażywszy go we władzę dyktatorską, do pomocy przydano Radę Najwyższą Narodową.

Naczelnik 1 kwietnia wyprowadził załogę z Krakowa. Pod Luborzycą złączył się z jazdą Madalińskiego i Mangeta, pod Koniuszą z 2000 kosynierów. Razem dysponował więc 6000 ludzi z 12 działkami. Kilkugodzinną bitwę pod Racławicami (4 kwietnia) z brygadą Tormasowa (3000 l., 12 dział) rozstrzygnął uderzeniem 320 kosynierów na stojącą w centrum artylerię. Najmężniejszego chłopa Wojciecha Bartosa mianował oficerem Głowackim, przeprowadził zwolnienie z pańszczyzny i uwłaszczenie zagrodą w Rzędowicach. Głowacki poległ pod Szczekocinami, a pochowany został w Kielcach.

„Cud kosy racławickiej" w połączeniu z amerykańskimi doświadczeniami podsunął Kościuszce myśl wystawienia 300-tysięcznej armii ludowej. W uniwersale, wydanym 7 maja pod Połańcem, przyznał włościanom własność uprawianej ziemi, zmniejszył pańszczyznę, zapowiedział opiekę nad gospodarstwami powstańców, wprowadził dozorców dla rozstrzygania sporów z dworem. Postanawiał, iż „osoba wszelkiego włościanina jest wolna i... mu wolno przenieść się, gdzie chce". Uniwersał nie naruszał władzy dziedziców, choć przewidując konfiskatę dóbr zdrajców, Kościuszko skłaniał się ku rewolucji agrarnej. Tymczasem szlachta bardziej obawiała się powtórzenia rzezi humańskiej niż zaborców. Wymagała odrabiania starej pańszczyzny, czym zrażała chłopów do powstania. W rezultacie Kościuszko zgromadził przeszło 150 000 ludzi.

Rozporządzając bezgranicznym zaufaniem wojska i miłością mas ludowych, Naczelnik mógł przetrwać depresję po klęsce pod Szczekocinami (6 czerwca), gdzie Rosjan wsparli Prusacy (razem 24 000 ludzi i 122 armaty przeciwko 12 000 Polaków z 29 działami). Obronę Warszawy umożliwiły ze znawstwem wzmocnione przez Kościuszkę luźnymi redutami czteromilowe okopy osłaniające stolicę przed ogniem 253 dział, którym odpowiadało 140 polskich. Niczym nie złamane męstwo obrońców, nękających nieprzyjaciela wycieczkami, wybuch powstania w Wielkopolsce, skłoniły Prusaków do przerwania oblężenia.

Celem przeszkodzenia połączeniu sił Suworowa z Fersenem, Kościuszko ufając moralnej wyższości powstańców, na czele słabo uzbrojonych 7 tysięcy i około 22 dział, pod Ma-

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Przełamanie

Aby czytelnik mógł sobie wyobrazić rozmiary pracy przygotowawczej, poprzedzającej natarcie artyleryjskie, dodam, że na całym odcinku przyszłego przełamania przygotowano dla każdego dowódcy baterii i dowódcy kompanii specjalne mapy z oznaczonymi na nich danymi rozpoznania. Mapa taka była kopią normalnej mapy, ale uzupełnioną szeregiem dodatkowych szczegółów. Obecnie na każdej kopii naniesiono wszystkie inżynieryjne umocnienia nieprzyjaciela, cały jego system ognia, wszystkie obiekty ataku na danym odcinku.

W zasadzie umożliwiało to artylerzystom prowadzenie ognia tak, aby ani jeden pocisk nie został zużyty na próżno. Również dowódca kompanii piechoty dokładnie znał inżynieryjne i ogniowe przeszkody, na jakie mógł się natknąć. Mapy obejmowały całą głębokość taktycznej strefy obrony nieprzyjaciela, co pozwalało zarówno artylerzystom jak piechocie mieć pojęcie o wszystkim, co znajdowało się przed nimi u nieprzyjaciela mniej więcej na odległość 10 kilometrów.

Kilka słów o inżynieryjnym przygotowaniu przyczółka. Pochłonęło ono wiele sił i środków wszystkich rodzajów wojsk Frontu. Dla scharakteryzowania skali tej pracy warto chyba przytoczyć kilka liczb. Na przyczółku wykopano 1 500 kilometrów transzei i rowów łączących, zbudowano 1 160 stanowisk dowodzenia i punktów obserwacyjnych, przygotowano 11 000 stanowisk ogniowych dla dział i moździerzy, 10 000 ziemianek i różnych innych schronów dla wojsk; dobrze zbudowano i wyremontowano ponad 2 000 kilometrów dróg samochodowych tak, aby przy rozpoczęciu natarcia każda dywizja i każda brygada pancerna mogła posuwać się dwiema marszrutami. Pozwalało to uniknąć korków. Oprócz tego wojska inżynieryjne zbudowały na Wiśle trzydzieści mostów i przygotowały do przeprawy trzy promy o dużej nośności. Do tego należy dodać, że dla celów zamierzonego przez nas manewru maskującego wojska inżynieryjne przygotowały 400 makiet czołgów, 500 makiet samochodów i 1 000 makiet dział.

Szef wojsk inżynieryjnych Frontu generał Iwan Pawłowicz Galicki, który tym wszystkim kierował, okazał się, bez przesady, prawdziwym mistrzem. Pracował z ogromnym entuzjazmem, z iście nowatorską odwagą. (...)

9 stycznia zadzwonił do mnie przez WCz pełniący obowiązki szefa Sztabu Generalnego A. I. Antonow i zakomunikował, że sojusznicy na froncie zachodnim w Ardenach znaleźli się w trudnej sytuacji, w związku z czym zwrócili się z prośbą o przyspieszenie, w miarę możności, naszego natarcia. Wobec tego Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa zrewidowała terminy rozpoczęcia operacji zaczepnej. 1 Front Ukraiński miał przejść do natarcia nie 20 lecz 12 stycznia. Antonow mówił w imieniu Stalina. Ponieważ operacja była już zatwierdzona przez Kwaterę Główną i całkowicie zaplanowana, o żadnych zmianach, oprócz terminu, i żadnych zasadniczych sprawach nie było mowy.

Odpowiedziałem Aleksiejowi Innokentiewiczowi, że wojska będą gotowe rozpocząć natarcie w nowym, ustalonym przez Kwaterę Główną terminie.

Nie chcę z perspektywy czasu ani wyolbrzymiać, ani pomniejszać trudności, jakie wyłoniły się przed nami w związku z przesunięciem terminu. W zasadzie byliśmy gotowi do operacji i dlatego, udzielając Antonowowi odpowiedzi, nie zawahałem się. Ale ponad osiem dni, których nas w jednej chwili pozbawiono, trzeba było zrekompensować wytężoną pracą w ciągu pozostających dwóch i pół dnia. Aby zakończyć przygotowania, dowódcy wszystkich szczebli musieli wykonać olbrzymią pracę organizacyjną.

W ostatnich miesiącach otrzymaliśmy uzupełnienia, które szkolono przed samym natarciem. Zaplanowano szeroki program różnorodnych ćwiczeń, a teraz w końcowym etapie należało go skracać, ograniczać, co oczywiście nie było sprawą łatwą. Ujawniły się również różne inne niedociągnięcia, które usuwano w wyjątkowo krótkim terminie.

Jednym słowem te osiem dni, które nam zabrano, były nam prawdę mówiąc nieodzowne. Ale ten nieodzowny czas zabierano nam po to, aby pomóc sojusznikom i my we frontach (mówię o moim Froncie, ale sądzę, że tego rodzaju sytuacja istniała wszędzie) rozumieliśmy, że przesunięcie terminu podyktowane jest ogólnymi względami natury strategicznej, a więc trzeba się z tym pogodzić. Jako dowódca Frontu w duchu zgadzałem się z decyzją Kwatery Głównej.

Ponadto przesunięcie terminu natarcia było dla nas niedogodne ze względu na prognozy pogody. Na drugą dekadę stycznia były one pomyślniejsze niż na najbliższe dni. Przygotowując się do natarcia w dniu 12 stycznia musieliśmy liczyć się z konkretnym faktem, że ze względu na złą pogodę trzeba będzie obezwładnić niemiecką obronę tylko przy pomocy artylerii, bez lotnictwa. (...)

Do natarcia pozostało już niewiele czasu. Oprócz innych przygotowań zastosowaliśmy poważnie dezorientujące nieprzyjaciela środki maskujące: postanowiliśmy zademonstrować ześrodkowanie dużego zgrupowania pancernego na lewym skrzydle frontu. W tym celu skierowaliśmy tam makiety czołgów, dział pancernych i dział. Makiety te znajdowały się w armii generała Kuroczkina, na wschodnim brzegu Wisły, skąd Niemcy mogli oczekiwać uderzenia na Kraków. Nie twierdzę, że dzięki tym środkom maskowania udało się nam zapewnić całkowite zaskoczenie taktyczne na rzeczywistym kierunku głównego uderzenia z przyczółka sandomierskiego. Jednakże nasz manewr maskujący odegrał pewną rolę.

Pomimo kiepskich warunków meteorologicznych lotnictwo rozpoznawcze nieprzyjaciela dokonało wielu lotów do rejonu fałszywego ześrodkowania. W ciągu ostatnich dwóch dni przed natarciem Niemcy przeprowadzili ponad 200 nawał artyleryjskich i to do rejonów, gdzie stały nasze makiety. Na tyłach przegrupowali siły 17 armii; poszczególne jej związki taktyczne przesunęli na południe. I, wyprzedzając fakty, chcę powiedzieć, że w trakcie natarcia hitlerowcy nie odważyli się przerzucić części sił 17 armii z południa na północ. Widocznie wciąż jeszcze liczyli się z możliwością naszego dodatkowego uderzenia z tego kierunku. (...)

Punktualnie o godzinie piątej rano po krótkim lecz potężnym uderzeniu artyleryjskim bataliony czołowe przeszły do ataku i szybko zdobyły pierwszą transzeję nieprzyjaciela. Już z pierwszych meldunków jasno wynikało, że wróg nigdzie się nie wycofał, że znajduje się tu, na miejscu, w zasięgu oddziaływania wszystkich zaplanowanych przez nas uderzeń artylerii.

Uderzenie artyleryjskie choć krótkie było tak silne, że wywołało u nieprzyjaciela wrażenie, iż rozpoczęło się ogólne przygotowanie artyleryjskie. Przyjmując działania batalionów czołowych za ogólne natarcie naszych wojsk, faszyści próbowali powstrzymać je za pomocą wszystkich swoich środków ogniowych. Właśnie na to liczyliśmy. Po zajęciu pierwszej transzei bataliony zaległy między pierwszą a drugą. W tym właśnie momencie rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Trwało ono godzinę i czterdzieści siedem minut i było tak potężne, że, wnioskując z szeregu zdobytych dokumentów, nieprzyjacielowi wydawało się, iż trwało ono co najmniej pięć godzin.

Po rozpoczęciu przygotowania artyleryjskiego nie wycofaliśmy, wbrew zwyczajowi, batalionów czołowych, które zajęły pierwszą transzeję. Każda bateria była dowiązana do określonego obszaru według współrzędnych ogólnej siatki geodezyjnej tak, że nie działaliśmy na ślepo, lecz staraliśmy się, jak się to mówi, trafić w sedno. Na mapach wszystkich obserwatorów i dowódców baterii dokładnie zaznaczone były zarysy pierwszej, zdobytej już przez nas transzei, i położenie drugiej, gdzie jeszcze znajdowały się wojska faszystowskie.

Od artylerzystów wymagano tylko jednego — dokładnej pracy. I nie pomylili się ani razu. W każdym razie w tym wypadku na całym froncie nacierających wojsk nikt nie podał alarmującego sygnału: „Zaprzestać, prowadzicie ogień do swoich".

Prognozy meteorologów całkowicie się potwierdziły, nawet z nawiązką. Nie tylko w ciemności, kiedy rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie, ale i potem, gdy już świtało, widoczność faktycznie była równa zeru. Z nieba waliły płatami gęsty śnieg, tak jak by pogoda specjalnie się postarała, aby stworzyć nam dodatkowe maskowanie. Kiedy kilka godzin później obok naszego punktu obserwacyjnego wchodziła do wyłomu armia pancerna Rybałki, czołgi były tak zamaskowane gęstym śniegiem, zlewającym się z ogólnym tłem terenu, że można je było rozróżnić tylko po ruchu.

Oczywiście pogoda taka miała też swoje minusy. To co jest dobre dla zamaskowania, nie sprzyja obserwacji. Wszystko jednak było już przedtem tak starannie przygotowane i zorientowane, że ani podczas przygotowania artyleryjskiego, ani podczas przełamania, ani podczas wprowadzania do wyłomu armii pancernych nie powstał najmniejszy bałagan. W dniu tym wszystkie nasze plany realizowane były z niezwykłą punktualnością, co, trzeba stwierdzić, nie zdarza się zbyt często podczas wojny. Dlatego właśnie ze szczególną przyjemnością wspominam ten dzień przełamania.

Podczas naszego przygotowania artyleryjskiego wojska nieprzyjacielskie, między innymi część odwodów rozmieszczonych w taktycznej strefie obrony lub, mówiąc prościej, wysuniętych zbyt blisko frontu, wpadł pod silne uderzenie artyleryjskie, uległy demoralizacji i straciły zdolność wykonywania swoich zadań.

Wzięci do niewoli podczas pierwszych godzin przełamania dowódcy oddziałów niemieckich zeznali, że ich żołnierze i oficerowie stracili panowanie nad sobą. Samowolnie (a dla Niemców, trzeba szczerze przyznać, nie jest to typowe) opuszczali swoje pozycje. Żołnierz niemiecki z reguły — i reguła ta znalazła potwierdzenia w ciągu całej wojny — siedział tam, gdzie mu kazano dopóty, dopóki nie otrzymał zezwolenia na wycofanie się. Jednakże tego dnia, 12 stycznia, ogień był tak nieubłagany, że ci, którzy pozostali przy życiu nie panowali już nad sobą. (...)

Aby przynajmniej jakoś zatrzymać dalsze posuwanie się naszych wojsk dowództwo hitlerowskie zaczęło w pośpiechu wycofywać resztki swoich rozbitych oddziałów do rejonu drugiego pasa obrony. Odwrót odbywał się pod nieustannym ogniem naszej artylerii i nieprzyjaciel ponosił wciąż nowe straty. Prawdę mówiąc dowództwo hitlerowskie postąpiło słusznie podejmując szybką decyzję o wycofaniu wszystkiego, co jeszcze ocalało. A mimo to niewiele udało mu się uratować wojsk, które przeciwstawiały się nam na odcinku przełamania pierwszego pasa obrony.

Dwie godziny po zakończeniu przygotowania artyleryjskiego, kiedy piechota wraz z czołgami bezpośredniego wsparcia runęła naprzód, objechałem odcinek przełamania. Wszystko dokoła było dosłownie przeorane, zwłaszcza na kierunku głównego uderzenia armii Żadowa, Korotiejewa i Puchowa. Wszystko było zawalone, zasypane, wywrócone. Bądź co bądź na jednym kilometrze frontu, biło tu w nieprzyjaciela 250 do 280, a gdzieniegdzie i 300 dział, nie licząc armat i moździerzy małego kalibru. „Tęgo" — jak mówią żołnierze. (...)

O to, kiedy należy wprowadzić do wyłomu wielkie związki pancerne, a kiedy jest na to za wcześnie, historycy wojskowi skruszyli wiele kopii. Również podczas tej wojny istniały różne na ten temat poglądy. Ja też miałem swoje zdanie. Zarówno w roku czterdziestym trzecim, w czterdziestym czwartym, jak i w czterdziestym piątym w skład frontów, którymi dowo-

ciejowicami 10 października przyjął obronną bitwę z 14 tysiącami ludzi i 60 armatami Fersena. Liczył na pomoc dywizji Ponińskiego, który z wielu przyczyn zjawił się po boju. Całodzienna bitwa zakończyła się klęską z momentem uderzenia Rosjan na tyły. W chwili, gdy Kościuszko próbował sformować front z rozbitych jednostek, opadnięty przez Kozaków, uderzony szablą w głowę, ciężko ranny, dostał się do niewoli. Na tym miejscu we wsi Krępa wzniesiono pamiątkowy kopiec. Obdukcja wykazała liczne blizny na piersi, poszarpanie lewej nogi bagnetem i trzy cięcia na głowie. Stanowi to dowód walki oko w oko z nieprzyjacielem.

Mężny, aktywny, wobec braku zorganizowanego sztabu i wywiadu był zmuszony niemal wszędzie osobiście działać i o wszystkim decydować. Wobec zaś słabości jakobinów poza stolicą, nie chciał pozbywać się udziału umiarkowanych. Zresztą, jak zauważył, Ignacy Potocki, mimo męstwa i talentów wojennych „natura nie przeznaczyła go na to, aby na czele rewolucji mógł stanąć". Zwolennik kompromisu pragnął spożytkować tradycje przeszłości w walce o nowe wartości i wewnętrzną odnowę narodu.

Ciężko chorego dowieziono 18 grudnia 1794 r. do twierdzy petropawłowskiej. Po śmierci Katarzyny II, car Paweł, po odebraniu przysięgi wiernopoddańczej, zwolnił Kościuszkę oraz na jego prośbę pozwolił wrócić z Syberii 12 tysiącom polskich jeńców. Z niewygojonymi ranami Kościuszko opuścił w grudniu 1796 r. Petersburg, aby przez Szwecję i Anglię latem 1797 r. udać się do Stanów Zjednoczonych a następnie do Francji...

Wiosną 1799 r. zaznaczył się w poglądach Kościuszki zwrot na lewo. W lipcu przystąpił do Związku Republikanów Polskich w Warszawie, głoszącego program zdecydowanie demokratyczny i republikański. Wyrzekł się Kościuszko szlachectwa, ślubował nienawiść królom. Nawiązał współpracę z jakobinami polskimi w Paryżu, skupionymi w Deputacji. Nie popierał tylko ich napaści na gen. J. H. Dąbrowskiego. W 1800 r. w opracowanej stylistycznie przez swego sekretarza, jakobina Józefa Pawlikowskiego, anonimowej broszurze pt. „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?" Kościuszko omówił przyczyny upadku insurekcji 1794 r., wskazywał drogę ku niepodległości w zerwaniu z przesądami stanowymi, poleganiu na własnych siłach i sprzymierzonych ludów, nie zaś rządów. Szerzył kult kosy i piki jako broni masowej, rozstrzygającej o sukcesie powstania ludowego. Krytykował legiony dowodząc, że walki na obcej ziemi są dla sprawy narodowej bezwartościowe. Broszura, zmierzająca do przyśpieszenia powstania w kraju, wywołała nieufność do Francji i legionów, wzbudziła niezadowolenie umiarkowanych patriotów i krytykowanych legionistów, wywołała zarzuty republikanów ujawnienia tajnych planów lewicy. Pomysł powstania krajowego pod dyktatorską władzą Kościuszki zaognił stosunki wśród emigracji.

Zrażony tym Kościuszko wystąpił ze Związku Republikanów, odsunął się od działań politycznych. Latem 1801 r. przeniósł się pod Fontainebleau do Berville, wiejskiej posiadłości swego przyjaciela, Szwajcara Piotra Zeltnera. Jako szczery i bezinteresowny demokrata i republikanin, zarazem wyraziciel dążności niepodległościowych, nie przestał oddziaływać przemożnie na ideologię swego pokolenia i następnych. Dlatego głównie nie poszedł na kompromis z Napoleonem, liczącym w 1806 r. na współdziałanie Polaków bez udzielenia im rękojmi politycznych. Opowiedzenie się po stronie cesarza Francuzów w wojnie przeciw Rosji i Prusom Kościuszko uzależniał od wprowadzenia we wskrzeszonej Polsce monarchii parlamentarnej, wzorowanej na angielskiej, uwolnienia i uwłaszczenia chłopów oraz przywrócenia przedrozbiorowych granic.

Po wkroczeniu wojsk koalicyjnych do Paryża, car Aleksander w maju 1814 r. przyrzekał Kościuszce odbudowę Polski po Dniepr i Dźwinę, nazywał go publicznie wielkim człowiekiem, a w marcu 1815 r. zaprosił do Wiednia, gdzie zmieniano kartę Europy. W maju tego roku Kościuszko w stolicy naddunajskiej w rozmowie z ks. Adamem Jerzym Czartoryskim oświadczył, że jeżeli utworzone na kongresie wiedeńskim Królestwo Polskie będzie „tylko jak dawniejsze Księstwo Warszawskie, a teraz jeszcze mocno zmniejszone, to jest pośmiech" i on nie uda się do Warszawy, dokąd kierował go car. O tym postanowieniu powiadomił listownie cara.

W tym czasie skreślił myśl przewodnią swego życia: „Obywatel, który chce szczycić się być dobrym Polakiem (!), powinien poświęcać wszystko dla Ojczyzny i być zawsze ludzkim i sprawiedliwym". Nie doczekawszy się odpowiedzi, z Wiednia udał się do Solury w Szwajcarii, gdzie zamieszkał u Franciszka Zeltnera.

Troska o Polskę towarzyszyła mu do ostatnich chwil. Zmarł w Solurze 15 października 1817 r. W roku następnym zabalsamowane zwłoki złożono w grobach królewskich na Wawelu, między sarkofagiem Jana III Sobieskiego i ks. Józefa Poniatowskiego. Pamięć Naczelnika uczczono przystępując w 1820 r. do usypania w czynie społecznym w ciągu trzech lat kopca pod Krakowem.

Nazwisko Kościuszki, opromienione legendą półtorawiekowej walki o wolność i postęp, stało się symbolem odzyskanej niepodległości, bohaterstwa oraz bezgranicznego poświęcenia w służbie Ojczyzny i braterstwa ludów.

Juliusz Willaume

Akademia Medyczna w Białymstoku

Dwa tysiące lekarzy

JAK ten czas leci! Akademia Medyczna w Białymstoku rozpoczyna już osiemnasty rok działalności. A jest przecież najmłodszą w Polsce uczelnią kształcącą lekarzy (nie licząc Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, która choć powstała później, to działa w oparciu o tamtejszą „cywilną" akademię, istniejącą już wcześniej). Pierwszych słuchaczy przyjęła w roku 1950, pierwszych absolwentów wypuściła w 1955 r. W sumie dotychczas w Białymstoku wydano 1944 dyplomy lekarza medycyny. Nie trzeba chyba wyjaśniać, jakie to miało znaczenie dla podniesienia zdrowotności tego województwa dawnej Polski B. W bieżącym roku akademickim uczelnia wypuści dwutysięcznego absolwenta.

O aktualnych sprawach białostockiej akademii mówi jej prorektor do spraw nauki, prof. dr Karol Buluk.

— Obecnie kształcimy 1750 studentów, z czego 240 przyjętych na I rok akademicki, wyraźna większość studiujących to kobiety. Uczelnia ma tylko jeden wydział — lekarski. Województwo nasze i sąsiednie regiony cierpią na brak lekarzy stomatologów. Mówi się więc wiele o potrzebie uruchomienia wydziału stomatologii. Myślę, że z czasem to nastąpi, choć jeszcze nie w najbliższej przyszłości. Na razie wzbogacamy się o kadry naukowe: ostatnio przyszedł do nas do pracy doc. dr Hordyski z Krakowa, wybitny specjalista stomatologii zachowawczej. Jak dotychczas nie przewiduje się natomiast powstania wydziału farmacji.

— Czy Wydział Lekarski ma tendencje rozwojowe?

— Jeśli chodzi o liczbę studentów — nie. Utrzymuje się ona na mniej więcej równym poziomie. Zresztą był okres, kiedy na I roku mieliśmy 300 osób. Jeśli chodzi o kadrę naukowo-dydaktyczną, to pod względem liczbowym zasadnicze zmiany nie zachodzą. Mamy obsadzone wszystkie katedry. Natomiast można zaobserwować poważny rozwój jakościowy, naukowcy białostoccy legitymują się coraz to nowymi publikacjami, budzącymi zainteresowanie w świecie medycznym. Muszę się równocześnie pochwalić: dotychczas w akademii naszej 150 osób uzyskało stopnie doktorów nauk, a 23 docentów. Jeden z docentów, Lucjan Wiśniewski, jest wychowankiem naszej akademii. Pięcioro dalszych wychowanków — w trakcie habilitacji.

— Jakie ważniejsze zagadnienia badane są przez pracowników naukowych uczelni?

— Trudno wymienić wszystkie, ograniczę się więc do niektórych. Ogólnie można powiedzieć, że występuje u nas koncentracja badań nad białkiem i enzymologią krwi. Zajmują się tym zarówno katedry teoretyczne jak i kliniczne. Oczywiście najłatwiej mówić mi o pracy Katedry Patologii Ogólnej i Doświadczalnej, kierowanej przeze mnie. Wspólnie z dr Tadeuszem Januszką, dr Michałem Małofiejewem i pozostałymi pracownikami zajmujemy się fibrynolizą, czyli upłynnianiem skrzepów krwi. Kontynuujemy w ten sposób badania prowadzone niegdyś przez znanego uczonego polskiego, prof. Leona Popielskiego. Krzepliwość krwi badana jest też w Katedrze Chemii Fizjologicznej kierowanej przez doc. Stefana Niewiarowskiego. W I Klinice Położnictwa i Chorób Kobiecych prof. dr Stefan Soszko, prorektor do spraw klinicznych naszej uczelni, i doc. Aleksander Krawczuk opracowują profil hormonalny u dziewcząt w okresie dojrzewania. Kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych prof. Piotr Boroń zajmuje się fizjologią i patologią schorzeń wątroby i metodami oceny schorzeń tego narządu. Doc. Beata Bogdanikowa prowadzi badania analizy białek krwi metodą rozdziału białek. Doc. Maria Rudobielska zajmuje się epidemiologią chorób zakaźnych u dzieci i oceną niedożywienia u dzieci. Prof. Ludwik Komczyński, rektor naszej uczelni — onkologią eksperymentalną i badaniami nad zastosowaniem polimerów w medycynie. Doc. Andrzej Danysz bada skutki promieniowania. Doc. Juliusz Popowicz, biochemik, zajmuje się przemianą aminokwasów. Prof. Janusz Lesiński pracuje nad diagnostyką kiły i skutecznością leczenia swoistego, Doc. Bogdan Hofman bada biologię rzęsistka. Nie jestem w stanie wymienić z pamięci innych prac prowadzonych przez naszych naukowców, ale gdybym sięgnął do moich notatek i zaczął wyszczególniać, redakcja nie zgodziłaby się zapewne na umieszczenie aż tak obszernych informacji w druku.

— Jakie znaczenie, zdaniem pana profesora, mieszkańcy Białegostoku przypisują uczelni w życiu miasta?

— Bardzo poważne. Bądź co bądź wypuściliśmy tylu absolwentów. Zresztą nim jeszcze pierwsi nasi wychowankowie otrzymali dyplomy, w mieście odczuło się obecność uczelni. Do Białegostoku przybyło bowiem liczne grono profesorów, docentów i doktorów medycyny, wysoko kwalifikowanych specjalistów, którzy podjęli praktykę w organizujących się klinikach. O ile jednak w mieście docenia się znaczenie klinicystów, o tyle do dziś nie ma chyba dostatecznego zrozumienia dla teoretyków prowadzących przecież badania o podstawowym znaczeniu. Jest to chyba jednak oczywiste: Białystok ma zbyt krótkie tradycje akademickie, by ogół społeczeństwa rozumiał, że pomoc jaką chory otrzymuje podczas wizyty u lekarza jest rezultatem badań wielu specjalistów różnych dziedzin.

— Czy uczelnia ma dostateczną ilość pomocy naukowych?

— Niestety nie i nie widzę możliwości poprawy. Aparatura medyczna jest tak droga i tak skomplikowana, że mając 240 studentów na roku nie można każdemu pozwolić na wystarczająco długie zaznajamianie się z nią. Brak nam też kadry do obsługi tej aparatury, lecz w tej mierze radzimy sobie jakoś sami, doszkalając naszych pracowników.

— Zaczęliśmy od studentów i, jeśli pan profesor pozwoli, na nich skończymy. Jak pan ocenia poziom egzaminów wstępnych?

— Byłem w komisji egzaminacyjnej. Młodzież posiadała na ogół dobry zapas wiadomości, chyba większy niż egzaminowani rok temu; być może jednak padały lepsze odpowiedzi, gdyż zadawano precyzyjniejsze pytania. Niestety, była to wiedza formalna, wiadomości wykute, za którymi nie czuło się samodzielnego myślenia. Nieraz kandydat dobrze odpowiadający na pytania z jakiegoś przedmiotu był bezradny i bąkał byle co, gdy chcieliśmy się dowiedzieć, dlaczego wybrał medycynę. Tu można mieć pretensję do szkoły średniej, bo maturzysta powinien być przygotowany do samodzielnej pracy. Pewnym wytłumaczeniem — choć nie usprawiedliwieniem — może być to, że Białostockie to przecież była Polska B, która choć nie jest już nazywana Polską B, nie może jednak równać się z innymi rozwiniętymi regionami.

Rozmawiał:
R. Wiśniewski

nad Wisłą

dziłem, stale wchodziły armie pancerne oraz korpusy pancerne i zmechanizowane, i na podstawie doświadczenia wyrobiłem sobie pogląd na to zagadnienie.

Uważałem, że Kwatera Główna, pod naciskiem niektórych dowódców wojsk pancernych, niepotrzebnie się wahała, gdy chodziło o wprowadzenie do wyłomu armii pancernych. Przyczyną wahań były obawy — dodam, że niekiedy przesadne — przed narażeniem wojsk pancernych na duże straty w walkach o przedni skraj i o główny pas obrony nieprzyjaciela. Zdarzało się, że Kwatera Główna bezpośrednio się wtrącała i sama wyznaczała terminy wprowadzenia czołgów. Jasne, że nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć, jeśli stamtąd, z góry, zaczynają autorytatywnie nakazywać, w jakim dniu i o której godzinie masz wprowadzić do wyłomu czołgi; jest to zazwyczaj tak dalece niezgodne z konkretną sytuacją na froncie, że opracowany odgórnie plan działań z reguły grozi niepowodzeniem.

W praktyce powstająca w toku operacji sytuacja bywała w najwyższym stopniu różnorodna i podejmując decyzje trzeba było na miejscu uwzględniać czynniki niemożliwe do uwzględnienia z góry i na odległość. Tu rzeczywiście nie ma i nie powinno być miejsca na szablon. (...)

Na podejściach do Kielc Niemcy walczyli zajadle i to początkowo zahamowało tempo posuwania się 3 armii gwardii Gordowa i 13 armii Puchowa. Po otrzymaniu meldunku o tym nie tracąc czasu zawróciliśmy będącą w ruchu 4 armię pancerną Leluszenki i skierowaliśmy ją na obejście Kielc z południowego zachodu. W wyniku tego manewru Kielce zostały zdobyte w czwartym dniu natarcia, 15 stycznia większa część walczących na podejściach do miasta wojsk faszystowskich — rozbita, ich resztki zaś — odrzucone w lasy na północ od Kielc. Później połączyły się one z resztkami innych rozbitych armii, wycofujących się pod naporem 1 Frontu Białoruskiego, w jedno dosyć duże zgrupowanie złożone z kilku dywizji. Zgrupowanie to pozostało na naszych głębokich tyłach za połączonymi skrzydłami 1 Frontu Ukraińskiego i 1 Frontu Białoruskiego.

Na tym polega charakterystyczna cecha operacji wiślańsko-odrzańskiej i całego ostatniego okresu wojny. Nie usiłowaliśmy już za wszelką cenę stworzyć podwójnego frontu — zewnętrznego i wewnętrznego — wokół każdego takiego zgrupowania. Uważaliśmy, i to słusznie, że jeżeli rozwiniemy natarcie dostatecznie szybko, to pozostających na naszych tyłach i odciętych sił nieprzyjaciela, choćby nawet znacznych, nie ma się co bać. Wcześniej czy później zostaną rozbite i zniszczone przez drugie rzuty naszych wojsk.

Tak też się w końcu stało nawet z tak dużym zgrupowaniem, o którym mówiłem. Dwa razy poniosło ono klęskę przy próbach wyrwania się z okrążenia i potem na wpół rozproszone brnęło przez lasy za naszymi wojskami, dopóki wreszcie nie zostało w drobnych potyczkach całkowicie zniszczone. (...)

Podczas gdy na tyłach frontu niszczono resztki nieprzyjacielskich oddziałów, które próbowały się przedrzeć lub błąkały się po lasach, siły główne Frontu energicznie kontynuowały natarcie. Wojska szybko pokonały pośredni pas obrony nieprzyjaciela wzdłuż Nidy i sforsowały z marszu Pilicę i Wartę. Natarcie było tak szybkie, że na rubieże rzek, płynących prostopadle do kierunku naszego posuwania się, wychodziliśmy wcześniej od wycofujących się wojsk faszystowskich. Okoliczność ta miała pierwszorzędne znaczenie, gdybyśmy bowiem pozwolili nieprzyjacielowi obsadzić zawczasu przygotowane rubieże obrony (tym bardziej z takimi naturalnymi przeszkodami jak rzeki), tempo operacji natychmiast by się obniżyło. (...)

Wykorzystując wszystko, co było pod ręką — i resztki wycofujących się oddziałów, i przerzucane z głębi odwody — hitlerowcy próbowali za wszelką cenę zatrzymać dalsze posuwanie się naszego głównego zgrupowania w kierunku Odry. Równocześnie nadal uporczywie bronili Krakowa i, według wszelkiego prawdopodobieństwa, mimo krytycznej sytuacji, jaka powstała u nich na północy, przygotowywali się do zaciekłego oporu w śląskim rejonie przemysłowym.

Byłoby zresztą rzeczą dziwną, gdyby nie próbowali tu się bić. Śląski rejon przemysłowy zajmował u nich pod względem produkcji przemysłowej drugie miejsce po Zagłębiu Ruhry; zresztą, nawiasem mówiąc, Zagłębie Ruhry znajdowało się w tym czasie również pod bezpośrednim zagrożeniem ze strony naszych sojuszników. Widocznie faszyści liczyli na to, że opierając się o silnie umocniony rejon krakowski zdołają nas zatrzymać, a następnie przy pierwszej możliwości wymierzą cios na północ, na skrzydło i tyły naszego głównego zgrupowania, zlikwidują natarcie i utrzymają w swoim ręku cały śląski rejon przemysłowy.

W tym miejscu wypadałoby chyba powiedzieć kilka słów o sile oporu nieprzyjaciela. Na początku operacji dywizje faszystowskie (zwłaszcza stojące naprzeciwko przyczółka sandomierskiego) miały pełne stany etatowe i liczyły po około 12 000 żołnierzy i oficerów każda. Innymi słowy niemiecka dywizja piechoty odpowiadała pod względem liczebności mniej więcej naszym dwóm dywizjom piechoty. Były to poważne siły i z początku oczekiwaliśmy, że faszyści będą bić się zajadle, tym bardziej, że już zarysowywała się perspektywa działań naszych wojsk bezpośrednio na terytorium Trzeciej Rzeszy.

Jeszcze nie wszyscy Niemcy widzieli zmierzch Trzeciej Rzeszy, a trudna sytuacja jak dotychczas nie powodowała prawie żadnych zmian w charakterze działań żołnierza hitlerowskiego na polu walki; bił się nadal tak samo jak przedtem, wyróżniając się, zwłaszcza w obronie, wytrwałością dochodzącą czasami do fanatyzmu. Organizacja armii pozostawała na wysokim poziomie, dywizje były uzupełnione do pełnych stanów, uzbrojone i zaopatrzone we wszystko lub prawie wszystko co im zgodnie z normą przysługiwało.

Mówić o moralnym załamaniu się hitlerowskiej armii było jeszcze za wcześnie. Można do tego dodać i następujące niebagatelne elementy: z jednej strony propaganda Goebbelsa straszyła żołnierzy zapewniając ich, że Rosjanie nie zostawią z Niemiec kamienia na kamieniu i popędzą całą ludność niemiecką na Syberię, z drugiej zaś strony stosowano wobec tychże żołnierzy surowe represje, coraz bardziej nasilające się pod koniec wojny.

Wyraźny wzrost ducha bojowego wywołała w armii niemieckiej operacja zaczepna w Ardenach. Sądząc z zeznań jeńców, w środowisku żołnierzy i oficerów dosyć szeroko rozpowszechnił się w owym czasie pogląd, że po rozbiciu sojuszników w Ardenach i zmuszeniu ich do separatystycznego rozejmu dowództwo niemieckie rzuci siły wszystkich frontów przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Pogłoski na ten temat były żywe nawet wówczas, kiedy niemiecka operacja zaczepna w Ardenach ostatecznie się załamała.

Wróćmy jednak do walk pod Krakowem.

19 stycznia rankiem wyjechałem na punkt obserwacyjny 59 armii do generała Korownikowa. Nacierające w tych dniach wojska armii szykowały się do bezpośredniego uderzenia na Kraków z północy i z północnego zachodu. Z punktu obserwacyjnego otwierała się już panorama miasta. Oceniwszy wraz z dowódcą armii sytuację na miejscu, postanowiliśmy skierować przydzielony tej armii 4 korpus pancerny gwardii pod dowództwem generała Połubojarowa na obejście Krakowa od zachodu. W połączeniu z działaniami 60 armii, która wychodziła w tym czasie na południowo-wschodnie i południowe przedmieścia Krakowa, manewr ten zagrażał załodze Krakowa okrążeniem.

Wojska 59 armii już przygotowywały się do szturmu. Otrzymały zadanie wtargnięcia do miasta od północy i północnego zachodu i zdobycia mostów na Wiśle, aby pozbawić nieprzyjaciela możliwości stawienia oporu w samym mieście.

Rzeczą niezmiernie dla mnie ważną było osiągnięcie szybkości działań wszystkich wojsk uczestniczących w natarciu na Kraków. Tylko to mogło uratować miasto przed zburzeniem, a chcieliśmy zdobyć je nietknięte. Dowództwo Frontu zrezygnowało z uderzeń artylerii i lotnictwa. Ale zą to umocnienia na podejściach do miasta, na których opierała się obrona wroga, poddaliśmy tego ranka silnemu ostrzałowi artyleryjskiemu.

Na punkcie obserwacyjnym zaplanowaliśmy kolejne uderzenie, po czym ja i Korownikow udaliśmy się w „Willisach" wprost do ugrupowań bojowych jego wojsk. Korpus Połubojarowa już wkraczał do miasta z zachodu, na północnym zaś krańcu toczyła się bitwa.

Posuwaliśmy się pomyślnie. Hitlerowcy prowadzili do naszych wojsk ogień z karabinów, pistoletów maszynowych, karabinów maszynowych, z dział, a niekiedy i z czołgów, ale pomimo panującego wokół huku i łomotu dawało się jednak odczuć, że strzelanina już wygasa i że wróg jest już właściwie pokonany. Groźba okrążenia sparaliżowała jego zdecydowanie utrzymania miasta. Korpus Połubojarowa w każdej chwili mógł odciąć ostatnią wiodącą na zachód drogę. Nieprzyjacielowi pozostawała tylko jedna: na południe, w góry. Toteż zaczął się szybko wycofywać.

W konkretnym wypadku nie zamierzaliśmy odciąć hitlerowcom ostatniej drogi odwrotu. Nie takie postawiliśmy sobie zadanie. Gdybyśmy to uczynili, musielibyśmy potem długo ich stamtąd wykurzać i niewątpliwie ucierpiałoby na tym miasto. I jakkolwiek pokusa, aby utworzyć pierścień okrążenia była wielka, choć mieliśmy takie możliwości, nie uczyniliśmy tego. Postawiliśmy nieprzyjaciela przed realną groźbą okrążenia i wojska nasze wyrzucały go z miasta czołowym uderzeniem piechoty i czołgów.

Do wieczora wojska generała Korownikowa gromiąc nieprzyjacielskie ariergardy przeszły przez całe miasto, oddziały zaś 4 korpusu pancernego gwardii z północnego zachodu oraz oddziały 60 armii ze wschodu i południowego wschodu zadały nieprzyjacielowi poważne straty gdy opuszczał Kraków i po opuszczeniu go. Dzięki umiejętnym działaniom wojsk Korownikowa, Kuroczkina i Połubojarowa to stare i jedno z najpiękniejszych miast Polski zostało zdobyte całe i nie zniszczone.

Mówią, że serce żołnierza jakoby przyzwyczaja się podczas długotrwałej wojny do widoku zniszczeń. Ale chociaż się do tego przyzwyczaja, nie może pogodzić się z ruinami. To, że takie miasto jak Kraków udało się nam wyzwolić całuteńkie, było dla nas ogromną radością.

Nawiasem mówiąc, faszyści założyli w mieście min więcej niż potrzeba: pod wszystkimi głównymi urządzeniami, pod wielu budynkami zabytkowymi. Ale wysadzić ich już nie zdołali. Nie zdążyły wybuchnąć również miny z zapalnikami zegarowymi. W ciągu pierwszych dni saperzy armii i Frontu pracowali dosłownie bez wytchnienia. Tego dnia, w czasie trwania walki, pojechałem tylko na północny kraniec miasta, nazajutrz zaś, dokładnie po upływie dwudziestu czterech godzin, widziałem już oczyszczone szlaki z wizytówkami saperów: „Miny usunięte", „Min nie ma", „Rozminowane".

Wojska posuwały się naprzód i 20 stycznia przejeżdżałem przez Kraków wraz z oficerami sztabu Frontu na nowe wysunięte stanowisko dowodzenia. Z ciekawością oglądaliśmy to, co dało się zobaczyć przez okno samochodu, ale niestety, nie mogliśmy się zatrzymać, aby obejrzeć osobliwości Krakowa. Droga była każda minuta. Czekała nas nowa operacja: o zdobycie Zagłębia Śląska.

Obecnie, być może, wydaje się to dziwne, ale tak naprawdę obejrzałem Kraków dopiero dziesięć lat później, kiedy przyjechałem na uroczystości dziesiątej rocznicy jego wyzwolenia. Zwiedziłem wspaniały Wawel, pałace i kościoły, byłem w Nowej Hucie, w tym wspaniałym nowym ośrodku przemysłowym Polski.

Nie od rzeczy będzie jeżeli powiem, że stamtąd, z tego rejonu, gdzie obecnie znajduje się Nowa Huta, nacieraliśmy na Kraków. Tereny te były wówczas polem walki... (...)

Iwan Koniew

Przed stuleciem śmierci Marii Skłodowskiej-Curie

Między Francją a Polską

CEZARY PAWŁOWSKI

NADCHODZĄCE od kwietnia 1934 r. wiadomości z Paryża o pogarszającym się stanie zdrowia naszej sławnej rodaczki budziły niepokój w polskim społeczeństwie i uczucie głębokiego żalu osób, które osobiście znały Marię Skłodowską-Curie. W pamięci naszej powinno na zawsze pozostać to, że wielka uczona, którą zamiłowanie do nauki silnie związało z Instytutem Radowym w Paryżu, przez całe życie czuła się Polką, bardzo przywiązaną do swojej rodziny, do swojego rodzinnego miasta — Warszawy, do swego narodu.

Stały pobyt we Francji, bezgraniczna miłość do męża, Piotra Curie, i swoich córek, Ireny i Ewy, nie zdołały osłabić jej szlachetnego uczucia miłości ku ojczyźnie. Słusznie zaznaczył profesor Emil Borel, prezes Akademii Nauk w Paryżu, w swoim przemówieniu, poświęconym pamięci Marii Skłodowskiej-Curie, że dzieliła ona uczucia między Polskę — kraj ojczysty i Francję — ojczyznę adoptowaną. Mieszkając od 24 roku życia w Paryżu, silnie odczuwała wszystkie chwile zmartwień, jak również chwile radości swojej ojczyzny.

Przez cały czas swego zamieszkiwania w Paryżu zachowała serdeczne stosunki ze swymi siostrami i bratem, mieszkającymi w Warszawie, i dość często przyjeżdżała w odwiedziny do rodzeństwa.

Maria Skłodowska-Curie zasłużyła się wobec Polski, okazując pomoc moralną, a nawet materialną Polakom zamieszkałym we Francji, zwłaszcza młodzieży polskiej studiującej w paryskich uczelniach. Stale śledziła rozwój nauki polskiej i była w stałym kontakcie z wybitnymi naukowcami polskimi.

W 1913 roku na zaproszenie Warszawskiego Towarzystwa Naukowego przyjechała na otwarcie Pracowni Radiologicznej, w której organizacji brała czynny udział w ciągu kilku lat.

Zainteresowanie uczonej rodzinnym krajem jeszcze bardziej wzrosło po odzyskaniu całkowitej wolności przez Polskę. *Nie było granic radości i zachwytu Marii Skłodowskiej-Curie po otrzymaniu wiadomości o proklamowaniu niezależności politycznej polskiego narodu* — w tych zdaniach wspomina o jej przeżyciach duchowych dr Claud Regaud, profesor Wydziału Medycznego Uniwersytetu Paryskiego, oddany przyjaciel i kolega naszej uczonej.

W 1919 roku Uniwersytet Warszawski nadał M. Skłodowskiej-Curie tytuł profesora honorowego w uznaniu wielkich zasług naukowych.

W 1921 roku Maria Skłodowska-Curie przyjechała do Polski w celu odwiedzenia swojej najbliższej rodziny oraz ujrzenia swej niepodległej ojczyzny. W czasie pobytu w Polsce została powiadomiona, że w Warszawie ze składek społeczeństwa polskiego utworzono fundusz, który w uznaniu jej wielkich zasług dla nauki i ludzkości został jako dar narodowy oddany do jej dyspozycji. Z uczuciem wdzięczności za okazaną cześć Maria Skłodowska-Curie zgodziła się przyjąć zebrany fundusz, jednak pod warunkiem przekazania go na budowę nowej placówki naukowej w Polsce, opartej na wzorze Paryskiego Instytutu Radowego z

jego dwoma działami: fizyko-chemicznym (Laboratorium Curie) i radiobiologicznym i curieterapeutycznym (Laboratorium Pasteura); zapewniła przy tym swoją osobistą pomoc w organizacji działu fizycznego, oraz pomoc profesora Cl. Regaud w organizacji działu medycznego. Budowę Instytutu w Warszawie rozpoczęto w roku 1925.

W związku z przewidywanym w niedalekiej przyszłości jego uruchomieniem, konieczne był- wyszkolenie licznej grupy młodych pracowników naukowych w dziedzinie fizyki, chemii, ciał promieniotwórczych oraz curieterapii. W końcu 1927 roku byłem wysłany przez Naukowy Komitet Budowy Instytutu im. M. Skłodowskiej-Curie do Paryskiego Instytutu Radowego w celu wykonywania badań naukowych pod osobistym kierownictwem Skłodowskiej. W ciągu mego czteroletniego pobytu w Instytucie Radowym uczona nie szczędziła swego cennego czasu na omawianie wyników moich prac badawczych. Z pobytu w Laboratorium Curie pozostały w mej pamięci jak najlepsze wspomnienia. Okres prowadzenia badań w tym Instytucie uważam za najlepszy i najszczęśliwszy w moim życiu naukowym. Dla naszej wielkiej rodaczki na zawsze zachowam w sercu uczucie szczerej wdzięczności.

Do prowadzenia prac naukowo-badawczych i klinicznego leczenia chorych w przyszłym Instytucie Radowym w Warszawie było konieczne posiadanie znacznej ilości preparatów promieniotwórczych. Nabycie radu, bardzo cennego pierwiastka, w ilości potrzebnej do planowanych prac przekraczało wszelkie możliwości finansowe odradzającego się kraju. Maria Skłodowska-Curie, chcąc i pod tym względem przyjść z pomocą, zwróciła się w tej sprawie do swojej przyjaciółki pani Meloney, znanej dziennikarki w Stanach Zjednoczonych. Dzięki zorganizowanej przez nią subskrypcji wśród Polonii amerykańskiej i przyjaciół Polski zebrano sumę pieniędzy wystarczającą do nabycia 1 grama czystego radu. Na zaproszenie Hoovera, prezydenta Stanów Zjednoczonych, Maria Skłodowska-Curie udała się na jesieni 1929 roku do Ameryki, aby otrzymać w darze od narodu amerykańskiego zakupiony rad, który w krótkim czasie był przesłany przez wielką uczoną do kraju ojczystego.

24 maja 1932 roku w Warszawie odbyło się uroczyste otwarcie Instytutu Radowego im. Marii Skłodowskiej-Curie w obecności najwyższych czynników państwowych Polski przy udziale założycielki tego Instytutu i dwóch zaproszonych wybitnych uczonych francuskich, profesorów Cl. Regaud i C. Marie, oraz licznych przedstawicieli polskiego świata naukowego. Uroczystość zakończyła się przemówieniem naszej wielkiej rodaczki oraz przekazaniem na własność narodu polskiego ofiarowanego jej jednego grama radu. Na zakończenie swego przemówienia Maria Skłodowska-Curie wyraziła życzenie szybkiego wykończenia budynków pracowni naukowych Instytutu, zaznaczając przy tym, że bez pracowni badawczych w najbliższej przyszłości zatraci on charakter placówki naukowo-badawczej.

Z powodu kłopotów finansowych Komitetu Budowy Instytutu wykończenie jego pracowni naukowych nastąpiło ze znacznym opóźnieniem. Dopiero 30 października 1937 roku, czyli w 3 lata po śmierci inicjatorki a zarazem twórczyni Instytutu Radowego w Warszawie, odbyło się oficjalne otwarcie jego Działu Fizycznego z pracowniami badawczymi, pracownią pomiarów radiologicznych i pierwszą w Polsce wzorcownią rentgenowską. W myśl życzenia Marii Skłodowskiej-Curie kierownictwo Działu Fizycznego objął doc. dr Cezary Pawłowski.

Ucieszna miszkulancja

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

PRZYZNAWAŁAM się już kilkakrotnie przy różnych okazjach, iż na skutek braku rygorów w mojej dziecięcej lekturze ominęły mnie jakoś swego czasu różne przeboje literatury młodzieżowej. Tak się więc stało i z osławioną „Panienką z okienka" Deotymy. Toteż gdy się rozeszła po Lublinie fama o przygotowywanej w Teatrze Osterwy inscenizacji tej powieści, nie byłam ani za, ani przeciw, nastawiając się raczej na ufne oczekiwanie — ufne, bo odkąd zobaczyłam w Krakowie „Trzynastego apostoła", jestem skończoną entuzjastką montaży i adaptacji Tadeusza Malaka, który właśnie przystosował „Panienkę" do użytku scenicznego i miał ją u nas wyreżyserować.

Przedsezonową premierę jego „widowiska w 3 aktach" urządzono w Chełmie, gdzie warunki sali pozwoliły podobno pokazać cały widowiskowy wdzięk „Panienki", uzupełnionej krotochwilnymi intermediami i wystawnym finałem. Drugie czy trzecie przedstawienie odbyło się, jakby dla kontrastu, na miniaturowej scence kina w Nałęczowie. Tu widziałam ten spektakl i przy sposobności obejrzałam przejścia zakulisowe, zmuszające aktorki do wyczynów nie mniej zgrabnych niż prześliźnięcie się Hedwigi przez szczytowe okienko domu rajcy Schultza.

Rzecz sceniczna zachęciła mnie do przeczytania „starodawnego romansiku". I żal mi się zrobiło tych dorosłych czytelników, którzy mają lekturę tej „młodzieżowej" książki daleko poza sobą. Cóż im zostało w pamięci z kunsztownie stylizowanej prozy Deotymy, z jej nieomylnego wyczucia polszczyzny lat czterdziestych XVII stulecia, z humoru, jakim tchnie tu i ówdzie ten język upstrzony makaronizmami, spowodowanymi łaciną i gdańską niemczyzną? Nie byli też w stanie docenić swobody, z jaką autorka operuje terminologią architektury, kostiumologii, nawigacji itp. A przede wszystkim, czy mogli pojąć, że główną sprawą powieści jest nie sentymentalny romansik Marianny-Jadwisi i Kazimierza Koryckiego, porucznika Marynarki Jego Królewskiej Mości Władysława IV, jeno polska aura bogatego Gdańska władysławowskiego, jednego z najznaczniejszych portów bałtyckich. A wydaje mi się, że w roku 1938—1939 powieść Deotymy osiągnęła punkt kulminacyjny swej aktualności i w nim się nadal utrzymuje.

Tedy czerpał adaptator ze źródła żywego i bogatego. Musiał nawet przezwyciężać znany ambaras wynikający z obfitości. Na pewno szkoda mu było rezygnować i ze wspaniałej zabawy w Dworze Artusowym, i z plastycznego opisu Bursztynowego Domu, którego przepysznej fasady i wnętrza nie mógł przenieść na scenę z syntetyczną dekoracją!

W przeróbce scenicznej siłą rzeczy punkt ciężkości utworu przesunął się na „romansik". Chodziło przecież teatrowi o pozycję rozrywkową. Powodzeniu takiej imprezy sprzyjały pomysłowe perypetie intrygi. Wobec tego wielki „dank" należy się Malakowi za ocalenie uroczej warstwy językowej utworu i zachowanie wyrazistości postaci stworzonych przez Deotymę. Do zasług autora widowiskowej „Panienki" należą też niewątpliwie zręczne interpolacje tekstów staropolskich, tak dalece nie naruszające spoistości utworu, że nie wszędzie łatwo je zidentyfikować z jednorazowego słyszenia, nie mając pod ręką egzemplarza reżyserskiego. Obszerny wykaz materiałów, bardzo przydatny dla miłośników staropolszczyzny, znajduje widz w programie widowiska.

Wyż wymieniony program opatrzono mottem:

A dla lepszego słuchania
Będziem używać śpiwania.
Które Waszmość budzić będzie
Między wierszykami wszędzie.

Otóż budzić nikogo nie trzeba — spektakl jest żwawy i ucieszny, co zaś do owego „śpiwania", to niestety, jest mizerniusie w wykonaniu zwłaszcza niewieściej części obsady i przyjmuje się je po trosze jako malum necessarium widowiska. Natomiast samo opracowanie muzyczne Tadeusza Malaka i Edwarda Marczewskiego jest nobilwe i wdzięczne, co można powiedzieć i o układzie tańców Józefa Ignaczaka. Jednak finał został nadmiernie rozbudowany, sądzę, że pewne cięcia wyszłyby mu na dobre.

Scenografia Janusza Warpechowskiego zaleca się dobrym smakiem, nienagannym stylem, nadto i praktycznością (objazdy).

W końcu o najważniejszych gwarantach sukcesu — o aktorach.

Tym razem oddałabym palmę pierwszeństwa Zofii Stefańskiej, w roli mądrej, sprytnej, wyrachowanej, niemniej czarującej wdówki Flory, i Maciejowi Polaskiemu, który stworzył interesująco skomplikowaną postać majstra Johanna Schultza, niby to dostojną, a podatną na grzeszki ludzkie. W miarę sentymentalnie i w miarę figlarnie prezentowała się Ewa Ulasińska jako Hedwiga; Zbigniew Sztejman ze swej strony — jako zakochany oficyjer Kazimierz Korycki, dał dowody nie byle jakiego temperamentu. Witold Lisowski gra czeladnika Korneliusa (całkiem innego niż w książce) osiągając efekty komiczne skamieniałą twarzą, niczym Buster Keaton. Strasznie zabawni tu: Maciek (Włodzimierz Nowakowski) i Fruzia (Danuta Rastawicka) tudzież Pacholiki — I (Ludwik Paczyński) i II (Roman Kruczkowski), cztery postacie mocno podbudowane wspomnianymi w programie materiałami z piebejskiego nurtu literatury. Jadwiga Janczewska (służąca Mina), dobrze ustawiona na „niemkinię", nie wykorzystała w pełni komizmu spotkania z „duchem" Kazimierza.

Burmistrz miasta Gdańska (Tadeusz Bourdo) chyba z woli reżysera nie przypominał ani odrobinę atrakcyjnego Freimutha, którego poznajemy z książki. Innych sprawców happy endu obsadzono statystami.

A w sumie — brawo dla inicjatorów wystawienia „Panienki z okienka".

Karawan do Cicibora

MIROSŁAW DERECKI

ELEGANCKI karawan — pełny. Ja zaś na koźle, wraz ze staruszkiem karawaniarzem, człowiekiem statecznym, co pod koniec dni swoich jął się pracy niebagatelnej — świadczenia bliźnim ostatniej posługi. Karawan podskakuje na wybojach, pasażerowie śpiewają, ulice Białej Podlaskiej w południowym, jesiennym słońcu, ludzie się uśmiechają z chodników, dwa gniade konie kłusują wesoło. Gwarzymy ze staruszkiem o tym i owym, stare dobre czasy wspominając, a i o sprawy współczesne zatrącimy, na temat polityki i na temat swojej pracy się wypowiemy. — Ja na przykład, panie — powiada karawaniarz — od dziecka konie kochałem i przy koniach robiłem. Za stangreta u dziedzica się zatrudniałem, nieraz się i czwórką dobrych cugantów powoziło. Więc na starość przy tej dwójce pozostaję i tak jakoś żyję. Pan pewnie myśli, że to robota lekka, emerytalna? A ona i z młodego by siłę wycisnęła. Bywa, że cały dzień jeżdżę tam i z powrotem — od kościoła do cmentarza i znowu. Aż ksiądz nieraz mówi: — No, Kowalski, dzisiaj pięciu wyprowadziliśmy ale do szóstego nóg już nie czuję: zostawimy go sobie na jutro...

Tak nam droga schodzi, wyjeżdżamy za miasto i nie wiadomo kiedy zza kępy drzew, z mroku, wyłaniają się budynki wsi Cicibór — cel podróży. Zaś Cicibór wita przybyłych wygaszonymi światłami, grupkami wrogo nastawionej młodzieży zaczajonej w ciemności. Honor wsi został wystawiony na szwank...

*

Konflikt pomiędzy podlaską wsią a piosenką, między dwoma rodzajami poczucia humoru, młodą i starą generacją, ludźmi z miasta i ze wsi, artystami i chłopami... Wypadki, które zaszły w Ciciborze Dużym, mogą się komuś wydać zabawne, a jednak zahaczają o wiele poważnych problemów polskiej współczesności. Sprawa miała już swój prolog w artykułach na łamach pism centralnych i wojewódzkich; interesowały się nią m. in. „Życie Literackie" i „Tygodnik Kulturalny". Ale rozważania na temat moralności autorskiej pisane przez autorów z odległych od ogniska konfliktu Warszawy czy Krakowa mogły się wydać dość czczym i mało istotnym moralizatorstwem. Rzecz sprawdzona na miejscu nabiera istotnie poważniejszego — niżby się można spodziewać — sensu.

Kilka miesięcy temu kierownik Powiatowego Domu Kultury w Lublinie i zarazem autor tekstów piosenek, Kazimierz Łojan, w czasie służbowego wyjazdu trafił do podlaskiej wsi Cicibór Duży. Tego dnia w ciciborskiej remizie straży pożarnej odbywała się zabawa, którą zapowiadał dość ekscentryczny jak na wiejskie stosunki afisz (nawiasem: dzieło już byłego sekretarza miejscowej Gromadzkiej Rady Narodowej) sformułowany w sposób następujący: Czy znasz urok i wdzięk panien z Cicibora, ich słodycz i nieprzeciętny zmysł organizacyjny? Jeśli nie, to przyjdź do remizy straży pożarnej (...) na zabawę. Zaprasza Cię Kółko Rolnicze. Afisz był ozdobiony licznymi „aktami" kobiecymi w pozach raczej frywolnych. Łojan przywiózł go do Lublina i razem z Kazimierzem Grześkowiakiem napisali satyryczną piosenkę — „Panny z Cicibora"; w jej tekście znalazła się też treść afisza. Nie to jednak stanowiło główny kamień obrazy dla mieszkańców Cicibora. Autorzy pozwolili sobie mianowicie na szereg dywagacji na temat moralności miejscowych panien a zatrącili również o historię pewnego jurnego ciciborskiego dziedzica, który jakoby stał się protoplastą wsi, a ponieważ był hojny, z biegiem czasu całą ziemię „rozparcelował" w formie podarunków dla darzących go swymi wdziękami mieszkanek Cicibora.

Wykonywana przez Grześkowiaka piosenka odniosła sukces, zajęła pierwsze miejsce na jednej z giełd piosenki, była z powodzeniem prezentowana w warszawskim Podwieczorku przy Mikrofonie i na Festiwalu Piosenki w Opolu. Grześkowiak zyskał dzięki niej popularność, a przy okazji na użytek hobbystów puścił w świat już kilka egzemplarzy owego afisza. Cicibór stał się „sławny" — pokazano go w telewizji. Gdyby fakt miał miejsce dziesięć lat temu, problemu by nie było. Ale środki masowego przekazu rozprzestrzeniają się szybko. I nic nowego, że posiadacze telewizorów oglądający niemal na co dzień odwrotną stronę Księżyca, miewają często trudności z odczytywaniem napisów filmowych. To, co w stolicy może bawić, co można tam nazywać „sięganiem po tematy do środowiska wiejskiego", u źródła może być poczytywane za złośliwą kpinę i rozmyślne spapranie honoru.

Cała okolica obejrzała w telewizji Cibibór Duży. Być może w skali miasteczka powiatowego odczuto by wszystko inaczej. Może nawet takie wskazanie palcem stałoby się powodem do swoistej dumy, do kołatania w „województwie" o przyznanie dodatkowych funduszów na najbardziej palące inwestycje. W myśl starej zasady: „staliśmy się sławni — dodajcie pieniędzy". Ale tutaj wszystko potoczyło się inaczej. Cała okolica widziała „hańbę" Cicibora i uderzyła w wielki śmiech. Publicyści mogli mieć wątpliwości, na ile wolno posunąć się w satyrze, ciciborzanie mieli zdanie jednoznaczne: wykpiono ich, niezasłużenie skrzywdzono. W Ciciborze zaczęły przystawać autokary z niedzielnymi wycieczkami — spoglądano na nie wrogo. We wsi krąży plotka, że Łojan napisał piosenkę z zemsty za to, iż dostał kosza od jednej z miejscowych dziewczyn.

Kilka tygodni temu jeden z lubelskich plastyków, od dłuższego czasu wykonujący w Białej Podlaskiej jakąś „robotę", wpadł z nudów na pomysł pogodzenia Cicibora z autorami piosenki. W porozumieniu z Gromadzką Radą Narodową i przy pomocy kilku młodych ludzi z Białej zaaranżował całą wielką imprezę. W oznaczonym dniu miała się odbyć w Ciciborze zabawa taneczna połączona z występami Kazimierza Grześkowiaka i spotkanie z obu autorami. W efekcie — wyjaśnienie sytuacji i... pojednanie. Żeby zaś było dowcipniej, plastyk wynajął w przedsiębiorstwie pogrzebowym karawan pierwszej kategorii, którym „winowajcy" wraz z licznymi towarzyszącymi im osobami udali się do Cicibora. „Kurier Lubelski" rozreklamował imprezę nadając jej lekko sensacyjny posmaczek. Bawiono się tym w Lublinie, bawiono jeszcze w Białej Podlaskiej...

Ale w Ciciborze do spotkania nie doszło. Na miejscu, oprócz dzieci i kilkunastu wiejskich wyrostków, nie było nikogo. Remiza zamknięta. Władze gromadzkie nieobecne. Afisze zapowiadające spotkanie — zerwane. Przybyłym oświadczono: — nie ma tu co stać, na co czekać. Zabawa się nie odbędzie, bo w remizie od dwóch dni nie działa elektryczność. A jeszcze rano, w rozmowie telefonicznej, zapewniano organizatorów, że wszystko przygotowane na przyjazd gości.

Nie pozostawało nic innego, jak wsiąść do karawanu i wyruszyć z powrotem do Białej Podlaskiej. Odjeżdżających żegnały gwizdy i okrzyki: „na cmentarz z nimi!". Tak zachowywała się młodzież. Dorosłym ambicja kazała zamknąć się w domu...

*

Warto z okazji „przypadku — Cicibór" zastanowić się nad dwoma problemami: po pierwsze (o czym już wspomniałem) na ile i w jakich warunkach można rozciągać granice satyry? Po drugie — w jakim stopniu reakcje i zachowanie się mieszkańców Cicibora były słuszne? Dodajmy, że najprawdopodobniej spotkanie doszłoby do skutku, gdyby nie zastosowano dodatkowych bodźców, na pewno doskonałych w pomyśle w wypadku krakowskich Juwenaliów, ale nie w odniesieniu do małej podlaskiej wioski. Być może dzisiejsza wieś jest już zdolna strawić gołe kobiety na afiszu, karawanu — jeszcze nie.

W pierwszej części artykułu starałem się oddać nastrój, jaki panował wśród osób jadących do Cicibora. Osób związanych z tzw. kulturą. Fiasko wyprawy, nocne rozświetlona kołyszącymi się płomykami karawanowych lampionów z pewnością mogły skłonić niecodziennych pasażerów tego pojazdu do snucia poważniejszych refleksji.

Wszyscy chcieli jak najlepiej i... nie wyszło. Mój trochę makabryczny reportaż — również...

Listy do KAMENY

Marynista w cudzych piórkach

Obraża się p. Bronisław Miazgowski na p. Kazimierza Stopę, że ten pisząc w „Kamenie" o polskiej literaturze marynistycznej nie wspomniał o Klubie Marynistów założonym przez p. Miazgowskiego ani o literackiej nagrodzie marynistycznej ufundowanej z inicjatywy p. Miazgowskiego. W dodatku p. Stopa zamilczał o tomiku wierszy p. Miazgowskiego. Wziął więc p. Miazgowski za pióro i zaczął pouczać p. Stopę, że informacja prasowa musi być rzetelna. Nad całością napisał p. Miazgowski efektowny tytuł: „Marynistyka w miękkich bamboszach?" z dramatycznym znakiem zapytania na końcu i posłał elaborat redakcji „Kameny", gdzie go wydrukowano w numerze 16 z 31 sierpnia br.

P. Miazgowski może ma rację wytykając p. Stopie przeoczenia i dezinformacje, sam jednak postępuje nie lepiej, kiedy pisze, że o tym, „jak było z tą marynistyką dotychczas" (tzn. z literaturą o tematyce morskiej), można się dowiedzieć tylko z jego książki pt. „Morze w literaturze polskiej". Co prawda p. Miazgowski napisał, że można się dowiedzieć o marynistyce między innymi z jego książki, ale cóż warta ta pozorna rzetelność, gdy w tym samym zdaniu głosi, że dotychczas nie ma na ten temat innej pracy poza jego własną. W tym miejscu p. Miazgowski bierze rozbrat z prawdą, bo jego książka nie jest pionierską. Poprzedziły ją prace kilku innych autorów, wśród których szczególnie się zasłużył prof. Roman Pollak. To prof. Pollak wydał ze wstępem i komentarzem wspomnianą przez p. Miazgowskiego „Morską nawigację do Lubeka" Marcina Borzymowskiego i odkrywcze studium o tym autorze, a także „Morze w poezji staropolskiej" oraz „Urodę morza w polskim słowie" — książkę o charakterze syntetycznym — i jeszcze sporo drobniejszych publikacji na ten temat. Śmiem twierdzić, że bez nich nie powstałaby książka p. Miazgowskiego.

P. Miazgowski na końcu swojej książki umieścił zestawienie bibliograficzne, w którym obok innych pozycji umieścił „Urodę morza w polskim słowie", wie zatem, że jego książka miała poprzedniczkę, zresztą „Morze w literaturze polskiej" p. Miazgowskiego opatrzone jest przedsłowiem prof. Pollaka, który jako znawca przedmiotu rekomendował pracę p. Miazgowskiego. To było jednak w 1963 r.; w 1967 r. p. Miazgowski stroi się w cudze piórka i usiłuje wmówić w czytelników, iż obok rozmaitych zasług ma i tę, że jest autorem unikalnej w Polsce pracy o literaturze marynistycznej. Jego zabiegi są tym bardziej niesmaczne, że gromiąc przemilczanie własnych prac naśladuje swego antagonistę i udaje, że nie wie o zasługach innych osób.

RAFAŁ LESZCZYŃSKI
Łódź

„Kapuśniak i kuszetka"

W związku z felietonem zamieszczonym w numerze 14 „Kameny" z dnia 31 lipca br. zatytułowanym: „Kapuśniak i kuszetka", zawierającym krytyczne uwagi o zaopatrzeniu bufetu na dworcu kolejowym w Lublinie o godz. 6 rano w dniu 12 lipca br. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Zaopatrzenia Podróżnych w Lublinie wyjaśnia co następuje:

1. Asortyment potraw i przekąsek, jakim dysponował bufet na dworcu kolejowym w Lublinie o godz. 6 w dniu 12 lipca br., mógł być rzeczywiście nie dość szeroki. Był to jednak sporadyczny przypadek, gdyż tej nocy odczuwano szczególne nasilenie ruchu pasażerskiego w postaci przejazdów licznych wycieczek itp., co spowodowało większą niż zwykle sprzedaż przygotowanych do konsumpcji artykułów. Zarówno bufet, jak i sąsiadująca z nim restauracja, dysponują na co dzień dość szerokim wachlarzem posiłków, napojów, wyrobów garmażeryjnych i kanapek. Innym zagadnieniem jest sprawa szynki, która — jak wiadomo — jest artykułem nie ukazującym się zbyt często w sprzedaży w naszym mieście. Nadmieniamy ponadto, że znajdująca się obok bufetu sala restauracyjna dysponuje wszelkiego rodzaju posiłkami gotowymi, jak również i na zamówienie — zarówno typu obiadowego jak i typu śniadaniowego.

2. Z usług bufetu na dworcu kolejowym w Lublinie korzystają zarówno podróżni względnie dobrze sytuowani, którzy mogą sobie pozwolić na szynkę to ile jest ona w sprzedaży, jak też i tacy podróżni, którzy reflektują na potrawy tanie i jednocześnie posilne. Krytykowany przez „Kamenę" kapuśniak z młodej kapusty z kartofelkami należy do posiłków poszukiwanych i chętnie spożywanych przez dojeżdżających do pracy robotników i przez zatrudnionych na dworcu pracowników kolejowych. Tego rodzaju konsumenci nabywają również u nas i czarny salceson, kotlety z karmazyna i dorsza oraz inne tanie, pożywne artykuły, bowiem czynnikiem najczęściej decydującym o zakupie do konsumpcji danego artykułu jest jego cena. Nie każdego stać na szynkę.

Mimo trudności w zaopatrywaniu naszych placówek we wszystkie artykuły poszukiwane przez konsumentów, staramy się — w miarę możliwości — rozszerzyć wachlarz asortymentowy potraw, przekąsek i napojów, dla zaspokojenia potrzeb jak najszerszej rzeszy osób korzystających z naszych usług gastronomicznych. Zdajemy sobie sprawę, że asortyment potraw i jakość świadczonych usług gastronomicznych wciąż jeszcze wymaga poprawy i usprawnień i z tego względu staramy się każdą rzetelną krytykę wykorzystać do poprawy stylu pracy i obsługi konsumentów.

W związku z felietonem zamieszczonym w „Kamenie" zobowiązaliśmy kierownictwo zakładu na dworcu kolejowym do zwiększenia asortymentu wyrobów garmażeryjnych z uwzględnieniem kanapek ozdobnych. Dołożymy także starań zmierzających do zwiększenia skuteczności nadzoru i kontroli sprawowanych zarówno przez kierownictwo zakładu jak i przez pracowników Przedsiębiorstwa.

Jednocześnie wyrażamy pogląd, że dokonywanie oceny pracy całego przedsiębiorstwa, w tym także zakładu nad Jeziorem Białym, w oparciu o opisany w „Kamenie" przypadek braku kanapek z szynką w bufecie na dworcu kolejowym w Lublinie, wydaje się być oceną zbyt pochopną i krzywdzącą, ocena przekreślającą wysiłki całej załogi.

Dyrektor WPZP
IZYDOR SZNAJDMAN

Jacek nie zamierzał w swoim felietonie przekreślać wysiłku całej załogi, jak sugeruje pismo dyrektora WPZP. Rzecz też nie w szynce. Faktem jest, że 12 lipca o godz. 6 rano w bufecie dworcowym nie było nawet nieczywa, nie mówiąc już o „kanapkach ozdobnych". Sądzimy, że będziemy mieli okazję przekonać się w przyszłości, czy omawiany wypadek był rzeczywiście sporadyczny.

(Red.)

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● 23 września, podczas uroczystego spotkania działaczy z całego województwa, zainaugurowano w Hajnówce obchody Roku Kulturalnego na Białostocczyźnie. W przeddzień inauguracji miasto otrzymało Powiatowy Dom Kultury.

● Na III Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Amatorskich „Pol-8" w Polanicy Zdroju pierwszą nagrodę otrzymał film „Oni", zgłoszony przez AKF „Projektor" działający przy WDK w Białymstoku. „Projektor" istnieje już 19 lat, skupia 21 członków. Film „Oni" jest dziełem Mariana Jarosza.

● Dyrektor Białostockiej Orkiestry Symfonicznej, Jan Kulaszewicz, przebywał w Bukareszcie na Międzynarodowym Festiwalu G. Enescu. Dyr. Kulaszewicz wchodził w skład oficjalnej grupy obserwatorów z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki.

● W salach Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Białymstoku otwarto wystawę malarstwa miejscowego plastyka Wiesława Jurkowskiego. Warto przypomnieć, że grafika Jurkowskiego była często prezentowana w białostockiej jednodniówce „Kontrasty".

KIELCE

● 15 września rozpoczęły się Świętokrzyskie Dni Kultury. Jak co roku, program był bogaty i urozmaicony. W uroczystościach otwarcia (były transmitowane przez TV) wzięli udział liczni przedstawiciele władz partyjnych, administracyjnych i kulturalnych.

● Nagrody za osiągnięcia twórcze związane z Kielcami, za rok 1967 otrzymali: prof. dr Pazdur — autor monografii Kielc, inżynier architekt mgr Tadeusz Steiner oraz red. Jarosław Kołodziej — z-ca red. nacz. kieleckiej Rozgłośni Polskiego Radia. Wyróżnienia przyznano plastykowi Krzysztofowi Jachimowskiemu oraz red. Tadeuszowi Rogozińskiemu ze „Słowa Ludu".

● 2 października minęło 15 lat od chwili powstania w Kielcach rozgłośni radiowej. Obchody XV-lecia odbywały się pod protektoratem I sekretarza KW PZPR w Kielcach Franciszka Wachowicza.

● „Wieś zabytkowa ośrodkiem turystyki" to tytuł ogólnopolskiego sympozjum zorganizowanego w Kielcach staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki, Wydziału Kultury WRN i wojewódzkiego konserwatora zabytków.

LUBLIN

● 22 września rozpoczęły się tradycyjne Dni Chełma. Wśród licznych gości przybyli również przedstawiciele Piły — miasta współpracującego z Chełmem oraz przedstawiciele warszawskiego koła miłośników Ziemi Chełmskiej. Uroczystości i imprezy artystyczne trwały przez trzy dni.

● Aktywny Teatr Akademicki UMCS „Gong-2" wystawił widowisko pióra A. Rozhina (kierownika Teatru) pt. „Maria", obrazujące życie Marii Curie-Skłodowskiej. Jak zwykle przedstawienie ambitne.

● Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej wyjechał na 14 z kolei tournée zagraniczne. Tym razem do Belgii. W Brukseli i licznych miasteczkach belgijskich Zespół zaprezentuje pieśni i tańce lubelskie oraz... flamandzkie.

● Lublin zyskał nową salę wystawową. Jest nią foyer Teatru im. J. Osterwy. Biuro Wystaw Artystycznych będzie tutaj systematycznie urządzało wystawy plastyczne. Pierwsza ekspozycja — plakat polityczny.

RZESZÓW

● W Strzyżowie odbyła się 21 września wojewódzka inauguracja Roku Kulturalnego. Otwarto nowy obiekt kulturalny, mieszczący Powiatowy Dom Kultury oraz kino panoramiczne. Uroczystości miały charakter sejmiku.

● Na III Festiwalu Ziem Górskich w Zakopanem zostały wyróżnione dwa regionalne zespoły Rzeszowszczyzny: Regionalny Zespół Pieśni i Tańca ZTA w Łużnej oraz Regionalny Zespół Pieśni i Tańca przy OSP w Raczowie.

● W Przemyślu zorganizowano ogólnopolską naradę działaczy Stronnictwa Ludowego, poświęconą omówieniu zadań SD w dziedzinie rozwoju towarzystw regionalnych i kulturalnych. Obradom przewodniczył dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie prof. dr Stanisław Lorentz.

● W Teatrze im. Wandy Siemaszkowej kolejna premiera — komedia Janusza Krasińskiego: „Czapa, czyli śmierć na raty". Reżyseria Jerzego Wasiuczyńskiego, scenografia Jana Golki.

● Przemyskie „Fredreum" rozpoczęło nowy sezon teatralny adaptacją noweli Henryka Sienkiewicza — „Ta trzecia".

PLASTYKA

Mistrz małych form

POSTAĆ Henryka Zwolakiewicza jest ogólnie znana w Lublinie, nie tylko w kręgach plastycznych, ale i we wszystkich innych środowiskach i instytucjach, które z wielu względów — praktycznych i estetycznych — interesują się najpopularniejszą dziedziną plastyki, jaką jest niewątpliwie grafika użytkowa. Nie wyklucza to przecież celowości bliższej prezentacji Zwolakiewicza, bo znajomość z widzenia nie wyczerpuje biografii. A więc: urodzony w Lublinie w 1903 r., uczył się w tym mieście w Wolnej Szkole Malarstwa i Rysunku, a dyplom wyższej uczelni artystycznej uzyskał, po zdaniu egzaminu pedagogicznego, w krakowskiej ASP w 1958 r. Grafiką zainteresował się najwcześniej, już w 1929 r., kilka lat przed debiutem wystawienniczym, który nastąpił w 1936 r. Z okresu międzywojennej działalności Zwolakiewicza warto zapamiętać fakt jego pracy na stanowisku kierownika artystycznego czasopisma „Ognisko Nauczycielskie", redagowanego przez Czesława Wycecha, kiedy to po raz pierwszy w Polsce wprowadził w wydawnictwie pedagogicznym okładki drzeworytnicze. Później, przez wiele lat związany z pracą nauczycielską, aktywnie uczestniczył w życiu artystycznym Lublina. Miasto wyróżniło Zwolakiewicza w 1963 r. przyznając mu swoją nagrodę, a w 1969 r. — województwo. Niech ta krótka prezentacja będzie wprowadzeniem do omówienia czynnej we wrześniu w lubelskim klubie „Zamek" wystawy prac grafika, na której pokazał on swój dorobek z ostatnich siedmiu lat.

Zgromadzone w „Zamku" obwoluty, okładki, exlibrisy, znaki firmowe, nalepki, dyplomy i zaproszenia mówią przede wszystkim o tym, że autor ich jest grafikiem o całkowicie ukształtowanym stylu, który charakteryzuje się oszczędnymi rejestrem środków formalnych i konsekwencją metodyczną w ich stosowaniu. Takie określenie można jednak zastosować do twórczości wielu innych grafików, spróbujmy więc bliżej spojrzeć na dorobek Zwolakiewicza.

Najpewniej czuje się Zwolakiewicz wówczas, kiedy opracowuje powierzchnie niewielkie, a więc exlibrisy, znaki firmowe, nalepki; okładki i obwoluty są bardziej zróżnicowane pod względem poziomu. Świetnym przykładem idealnego niemal rozwiązania graficznego jest znak Filharmonii Lubelskiej, wykonany w dwóch wersjach kolorystycznych. Sugestywność, zwięzłość, bezbłędne wykorzystanie kształtu litery „F", przypominającej zakończenie klucza wiolinowego, przeciętego u dołu białym paskiem — linią nutową, te wszystkie elementy i sposób ich powiązania ujawniają współczesną mentalność plastyczną, świadczą o umiejscowieniu twórczości Zwolakiewicza w pobliżu najlepszych osiągnięć krajowej grafiki użytkowej. Podobne refleksje nasuwają znaki firmowe Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „Trawena" w Trawnikach oraz kilka okładek i obwolut: albumu malarstwa Zenona Kononowicza, czasopisma „Łęgopedia", „Roczników Lubelskich", katalogów wystaw plastycznych. Osobna grupa exlibrisów zaleca się, poza wymienionymi wyżej cechami, niezwykłą wprost elegancją, wytwornością i kameralnym nastrojem.

Istotną zaletą „małej" grafiki Zwolakiewicza jest brak tanich, ogranych efektów, rozwiązań na pierwszy rzut oka szokujących, które po jakimś czasie ujawniają swoją szablonową zasadę. Powściągliwość zamiast rozrzutności, prostota zamiast barokowego nawarstwiania motywów — oto dewiza twórcza, o której Zwolakiewicz stara się nie zapominać.

Mówiąc o stylu Zwolakiewicza miałem na myśli pewien zespół form i typ rozwiązań kompozycyjnych, podporządkowanych nadrzędnej zasadzie prostoty, adekwatności treści i formy oraz sugestywności układów graficznych. W wypadku obwolut i okładek Zwolakiewicz najczęściej stosuje horyzontalny podział płaszczyzny, do czego służą mu równoległe linie i paski z napisami. Jest to skłonność niemal manieryczna, która jednak w obrębie pojedynczych prac, traktowanych osobno, całkiem zgrabnie funkcjonuje. Gorzej sprawa wygląda, kiedy te same elementy zostają przeniesione na dużą powierzchnię plakatu. Niewielkie paski nikną poprzez swój wymiar, co wyzwala w autorze tendencję do mnożenia motywów, kształtów, nawet kolorów i w efekcie pozbawia plakaty czytelności, szybkości działania na widza i tym podobnych, elementarnych cech tego środka informacji (np. plakat z okazji X-lecia Wydawnictwa Lubelskiego, plakat własnej wystawy druków akcydensowych). Nie chciałbym uogólniać: takie plakaty jak „Wystawa obrazów Łucji Bałzukiewicz" i „Muzeum Józefa Czechowicza" nie powodują zastrzeżeń. Zwolakiewicz jest jednak przede wszystkim mistrzem małych form graficznych.

Kam

Gratulujemy koledze

Z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że nasz pracownik, red. Mirosław Derecki otrzymał I nagrodę w ogólnopolskim konkursie Klubu Publicystów Kulturalnych Stow. Dziennikarzy Polskich za publikacje, ogłaszane w „Kamenie" w roku ub. Laureatowi serdecznie gratulujemy.

Książki nadesłane

CZYTELNIK

Stefan Żeromski — Ludzie bezdomni, powieść, Warszawa 1967;

Stefan Żeromski — Opowiadania, wstępem opatrzył Jan Zygmunt Jakubowski, Warszawa 1967;

Paweł Jasienica — Ostatnia z rodu — Anna królowa polska, Warszawa 1967 wydanie II;

Anatol Koni — Ze wspomnień prawnika, tłumaczyli: Zygmunt Braude, Adam Galis, wstęp Adam Galis, Warszawa 1967 wydanie I;

Jan Parandowski — Niebo w płomieniach, Warszawa 1967, wydanie X;

Maria Konopnicka — Nowele, tom I i II, opracowała Alina Brodzka, Warszawa 1967, wydanie II;

Helena Bobińska — Maria Skłodowska-Curie, Warszawa 1967;

Maria Dąbrowska — Tu zaszła zmiana. Pielgrzymka do Warszawy, Warszawa 1967, wydanie I;

Halina Górska — My samotni, zbłąkani ludzie... opowiadania, artykuły, fragmenty, wstęp Józef Rurawski, Warszawa 1967, wydanie I,

Stanisław Dygat — Pożegnania, Warszawa 1967, wydanie V;

Jan Jakub Rousseau — Przechadzki samotnego marzyciela, przełożyła Maria Gniewiewska, wstęp napisał Bronisław Baczko, Warszawa 1967, wydanie I;

Eliza Orzeszkowa — Cham, Warszawa 1967;

Ernest Hemingway — Komu bije dzwon, tłumaczyli Bronisław Zieliński, Warszawa 1967; wydanie VI.

Najlepszą formą

terminowego otrzymywania

„Kameny"

jest prenumerata

przegląd PRASY

OBCHODZONE dorocznie Świętokrzyskie Dni Kultury obok wielu interesujących imprez przyniosły jedną godną uwagi: zorganizowano w Kielcach po raz pierwszy jarmark folklorystyczny. Może okazać się on tylko okolicznościową imprezą, może też stać się ważnym momentem w odrodzeniu ludowego rękodzielnictwa i sztuki ludowej. Że taki pomysł zrodził się w Kielcach, nie jest rzeczą przypadku, bowiem Ziemia Kielecka stanowi prawdziwe zagłębie sztuki ludowej i chałupnictwa. Intencja jarmarku jest prosta: utrzymanie zanikających tradycji, rozwój artystycznych umiejętności.

„MAGAZYN „SŁOWA LUDU" proponuje utrwalenie tego pomysłu w ten sposób, aby jarmarki folklorystyczne stały się imprezą częstszą, która obok wszystkich innych jej zalet, byłaby niemałą atrakcją turystyczną. **Bogusław Rajchert** zwrócił się do niektórych zainteresowanych w tej sprawie. Posłuchajmy paru wypowiedzi:

Rzeźbiarz ludowy: *Dobra rzecz, tylko żeby bez pośredników. Może być pożytek dla wszystkich... Nie myślę, żeby jarmark był za darmo. Myślę o zezwoleniach na uczestnictwo, przydzielanych rzemieślnikom-artystom przez jakąś komisję. Komisja musi być, musi pilnować. Inaczej wkradną się cwaniaki.*

Działacz kultury: *Nic się samo nie zrobi. Potrzebny jest zespół ludzi działających, potrzebne są fundusze. Następna sprawa to rzemieślnicy, artyści ludowi. Jest ich w Kielecczyźnie więcej, niż się powszechnie sądzi — twórczych i przyczajonych w oczekiwaniu na bardziej sprzyjającą sytuację... Ci ludzie byli nieraz zwodzeni.*

Przedstawiciel władz: *Ustanowienie w Kielcach jarmarku rzemiosła ludowego może stać się jednym z silnych bodźców ożywiających nasz folklor. (...) Jestem przeciwnikiem powoływania komisji, która przed każdym jarmarkiem kwalifikowałaby towar do sprzedaży. Nie wierzę w nieomylność np. czworga ludzi. Obawiam się zawężeń, ujęcia imprezy w ścisłe ramy scenariusza... Ileż mamy pomyłek, dyskusji, sprzecznych zdań... Jeśli do tego dopuścimy — możemy wszystko stłamsić. Niech decyduje wytwórca - sprzedawca, niech decyduje nabywca.*

Inny przedstawiciel władz ma zdanie odmienne. Ale sama myśl została wsparta przez wszystkich. Ktoś zaleca ostrożność i takt — całkiem słusznie. Ktoś proponuje, aby władze ingerowały w imprezę poprzez poparcie dla rzeczy dobrych, a nie przez zakaz złych — można się pod tym podpisać. Warto jednak zrobić taki dobry jarmark, który przyciągałby znawców i miłośników, a artystom ludowym dałby sens egzystencji. A nie zaszkodziłoby, gdyby o takich jarmarkach pomyślano i gdzie indziej.

Co prawda nie sztuka coś zacząć, sztuka mądrze i konsekwentnie rozwijać. Że czasem jest inaczej? Kilka lat temu był szum w prasie lubelskiej, kiedy otwierano w Gardzienicach Techniczny Uniwersytet Ludowy. Była wtedy moda na mówienie o politechnizacji, pomysł Uniwersytetu wydawał się bardzo na czasie. Rodził się on z trudem, nie było dla niego wzorców. Postanowiono uczyć tu młodzież elementów chemii służących ochronie roślin, prowadzenia pojazdów mechanicznych, kultury na co dzień. Okazało się potem, że jest kłopot z kandydatami, nie było też zapotrzebowania na absolwentów. Trzeba więc było pomyśleć o likwidacji placówki. Czy jednak to słuszne? **„Po prostu żal..."** to właśnie tytuł artykułu na ten temat **Zofii Dublewicz** w „KULTURZE i ŻYCIU" (dodatek niedzielny „Sztandaru Ludu").

Autorka sądzi, że Uniwersytet Ludowy w Gardzienicach należy utrzymać, tylko należy zbliżyć go do wzoru rożnickiego i nastawić się na kształtowanie działaczy społecznych w środowisku wiejskim. Toteż publicystka „Kultury i Życia" apeluje:

Trzeba ocalić TUL w Gardzienicach, zatroszczyć się serdecznie o piękne zabytkowe miejsce, o historyczne i artystyczne cenie.

Niech w tym naturalnym pięknie oddanym przez historię we władanie prostym ludziom rośnie nowy potencjał ku społecznemu, tak oczekiwanemu pożytkowi. Po prostu żal Gardzienic. Nie może pójść na marne zapał, zapobiegliwość, z jaką tworzono TUL kilka lat temu.

A teraz zajrzyjmy do nieco innych regionów, tym bardziej, że artykuł, o którym będzie mowa, można z powodzeniem przymierzyć do różnych środowisk. **Jan Górec-Rosiński** drukuje w „ŻYCIU LITERACKIM" artykuł **„Snobizm kultury czy recydywa mieszczaństwa?"**. Autor poddał obserwacji niektóre ujemne zjawiska naszego życia kulturalnego i intelektualnego. Oto odbywa się wojewódzki zjazd kultury, w którym ma wziąć udział ważna osoba. Kiedy po powitaniu i wstępnych ceremoniach osoba opuszcza zjazd, pustoszeje kilka pierwszych rzędów. Oto premiery teatralne, na których rzędy zarezerwowane dla aktywu wojewódzkiego świecą pustkami. Albo znów przychodzi się na różne imprezy artystyczne nie po to, żeby w nich uczestniczyć, ale żeby kogoś zobaczyć lub łowić plotki. To już nie snobizm, ale postawa — jak ją publicysta określa — 'armarcznej gawiedzi.

J. Górec-Rosiński wzywa więc do wyrabiania prawdziwych postaw, wolnych od powierzchownego snobizmu. *Myślę* — kończy autor — *że czas najwyższy nasze życie kulturalne uwolnić od zbyt rozdętego ceremoniału, swoistego ozdóbkarstwa i bufonady.*

T. K.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencję prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 3327. 25.IX.67. P-4.

Z ŻYCIA WZIĘTE

Orły

PUBLICYSTA Jerzy Dostatni napisał swój artykuł pt. „Sport to nie tabu" przed meczem Polska — Francja. Dzięki temu nie znalazły się w nim takie wyrazy, które sekretarz redakcji Jerzy Dostatni musiałby wykreślić, aby nie dopuścić do zgorszenia młodzieży, stanowiącej, jak wiadomo, główną podporę czytelniczą „Kameny".

Polsko-francuskie spotkanie piłkarskie było imprezą tak żenującą, że do dziś trudno się otrząsnąć z niesmaku. Gra polskiej drużyny... Jaka tam gra. Bezładna kopanina polskich piłkarzy mogła przyprawić co słabszych widzów o ciężką chorobę. Zresztą na widowni działy się dziwne rzeczy. Chuligani, którzy przyszli na stadion z butelkami wódki i nie ukrywali przed meczem, że będą z okazji polskiej victorii niewąsko rozrabiać, szybko się uciszyli. Kiedy Francuzi prowadzili 2:1 przestali sobie patrzeć w oczy. Potem, po następnej francuskiej bramce rzelali resztę „czystej-ojczystej", wypili i rozpłakali się. Za to najbardziej szanowni i kulturalni ludzie wpadali w szał i zamieniali się w chuliganów. Pod koniec meczu ludzie zachowywali się jak na najlepszej komedii. Z niecki stadionu 10-lecia buchały w niebo salwy gromkiego śmiechu. Zresztą niewiele brakowało, a skończyłoby się to bardzo tragicznie. W pewnej chwili nad stadionem zjawił się samolot holujący szybowiec z pobliskiego lotniska aeroklubu. W tym momencie polscy obrońcy wkroczyli do akcji. Buchnął śmiech. Samolotem i szybowcem rzuciło jakby huragan uderzył. Na szczęście pękła tylko lina, łącząca szybowiec z samolotem, ale obaj piloci będą ten mecz pamiętać bardzo długo.

70 tysięcy ludzi wychodziło ze stadionu z głębokim przekonaniem, że zostali oszukani. W czasie meczu ktoś na trybunach zadał sobie trud obliczenia, ile pieniędzy wpłynęło z tego meczu do kasy władz piłkarskich. Czy za taką sumę odważyłby się ktoś na świecie pokazać gorsze widowisko? Ludziom nie chodziło przy tym o zwycięstwo, które tak chętpliwie zapowiadali przed meczem działacze polscy, o pokonanie słabego przecież przeciwnika. Można przegrać, a mimo to zasłużyć sobie na szacunek i uznanie. Rzecz w tym, jaki poziom zaprezentowali polscy piłkarze, jak walczyli. Walczyli skandalicznie, poziom był kompromitujący.

Gdyby to robili na swoje prywatne konto, gdyby Szołtysik na przykład spotkał się z Herbinem, za swoje oczywiście pieniądze po to, aby się przekonać, kto jest lepszy, nikt nie miałby mu tego za złe. Ale polscy piłkarze wystąpili w biało-czerwonych kostiumach, pod narodową flagą i reprezentowali kraj. Reprezentowali w sposób kompromitujący. A może nie chcieli dobrze grać?

Po meczu polscy działacze i polscy zawodnicy szukali przyczyn słabej postawy drużyny. Działacze rozkładali ręce i mówili, że nic nie mogą powiedzieć poza tym, że tak słabo grającej reprezentacji jeszcze nie widzieli. A zawodnicy? Ubawiłem się, kiedy przeczytałem wywiad z panem Ośliziło, głównym obrońcą polskiej drużyny. „...Osłabiliśmy wyraźnie na finiszu. Dlaczego? Może za ostro trenowaliśmy na zgrupowaniu? W klubie nie jesteśmy przyzwyczajeni do tak ostrego treningu. Nic nie rozumiem. Pełnia sezonu piłkarskiego, a my nie mamy sił. Muszą być jakieś błędy w szkoleniu." („Przegląd Sportowy", nr 113).

Oczywiście, pan Ośliziło ma rację. Winni są szkoleniowcy. Normalnie w klubie piłkarz sobie odpoczywa, raz na miesiąc fatyguje się do zakładu pracy po pensję, kadrowe i I-ligowe przynoszą mu do domu, co pewien czas wyjedzie z rodziną na wczasy (to się nazywa obóz kondycyjny) i szafa gra. Można grać z drużyną, w której panują takie same metody szkoleniowe.

Katastrofa, gdy trzeba zmierzyć się z drużyną zagraniczną. Robi się na gwałt obozy przedmeczowe, sztab trenerów stara się postawić na nogi kilkunastu starych chłopów, nauczyć ich biegania i jakiego takiego kopania piłki na bramkę. Czasem wyjdzie, czasem nie. Z Francuzami nie wyszło.

70 tysięcy ludzi zostało nabitych w butelkę. Nieważne, nikt ich nie zmusił do przyjścia na stadion 10-lecia, do zapłacenia równowartości biletu teatralnego czy ceny dobrej książki. Ale zlekceważone zostało również coś, czego nie da się wylicytyć ani zmierzyć. Biało-czerwone kostiumy, flagi narodowe nad stadionem — to do czegoś powinno zobowiązywać.

Red. Jerzy Dostatni słusznie pisał, że trzeba zerwać ze sportowym tabu i pisać o sporcie, a przede wszystkim o stosunkach, jakie w nim panują otwarcie, tak jak to się robi w każdej innej dziedzinie naszego życia. Zbyt wiele spraw nie wychodzi na światło dzienne, wyniki i tabele przesłaniają stosunki międzyludzkie.

Ci z Francją to nie tylko problem wyniku, problem przegranej. To także problem ludzi, którzy tworzą określone zjawiska. Kto zacznie pisać o postępowaniu ludzi? Kiedy o sporcie zaczną pisać nie tyle sportowcy, ile dobrzy dziennikarze?

BAR.

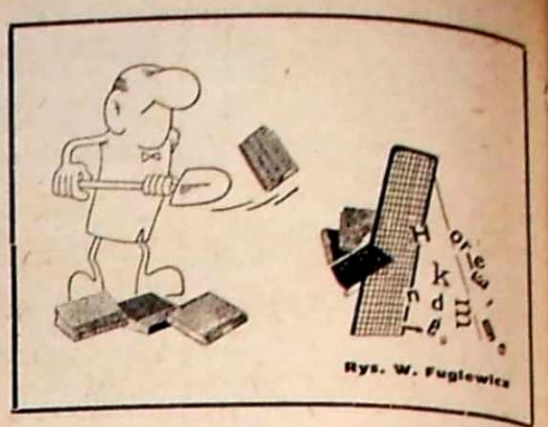

Rys. W. Fugiewicz

Moje koniugacje

Zabieg

DOPIERO kolorowe złudzenia akustyczne skłoniły mnie do zarejestrowania się u fotofuriaty. Od razu po wejściu zapachniało czymś odmiennym od zaufania. Nie zdziwiłem się, bowiem brak zaufania pacjentów jest podstawowym kanonem tej nowej dziedziny medycyny. Jego kitel w ciapki przypominające karaluchy byłby może śmieszny, gdyby to nie działo się w gabinecie o wymiarach dentystycznego. Przygotowanie było krótkie — tylko błysk pogardy w jego oczach. Wziął zwykły, całkiem klasyczny świder (zardzewiały z drewnianą rączką) i z rozkoszą, od której zaczerwieniły mu się paznokcie, rozpoczął sadystyczną spiralą wwiercać się w moją czaszkę. Byłoby to nie do zniesienia, gdyby braciszek w op-art habicie, asystujący przy zabiegu nie stosował co chwila doraźnego znieczulenia, chłostając mnie po palcach brzozową witką.

On tymczasem pracował sprawnie. Poprzez szklaną rurę-wizjer oglądał już drugą półkulę. Ołowiąskotaśmowym aparatem nakręcał film dla celów naukowych, a mnie na pamiątkę zrobił czerwono-niebieską fotografię rentgenowską mózgu.

Wyszedłem prawie w optymistycznym nastroju. Przeszkadzał mi wprawdzie wizjer wystający z głowy, ale ja mam bodajże wrodzone samopoczucie humoru. Tę wystającą niedogodność miano mi usunąć w ostatnią środę któregokolwiek miesiąca. Mimo że minął rok, chodzę nadal z tą szklaną rurą, bo gdy okazało się, że znikome kwalifikacje on posiadał — tylko stolarski dyplom czeladniczy — poradnię zamknięto.

Należę do tych, którzy przywykają. Byłem nawet zadowolony, bo ja, urodzony gaduła, zaniemówiłem samowolnie i wszyscy porozumiewają się ze mną, zerkając mi w głąb świadomości. Lecz zdarzały się incydenty powodujące uciśk na splot elektroneutryny, co było przyczyną pulsu napięć wysokiej częstotliwości w centralnym układzie pacierzowym. Szczytem wszystkiego były usiłowania pewnego proboszcza, chcącego mnie wyspowiadać bez mojego w tym udziału.

Postanowiłem skonstruować jakąś osłonę na moje życie umysłowe. Z pomocą znajomego optyka zbudowałem kalejdoskop maskujący, działający na zasadzie fizjofotokomórki. Wzbudzam coraz większe zainteresowanie. — Wszyscy są pewni, że mam kolorowe myśli. Ostatnio nawet prasa, radio i telewizja..., bowiem zaangażowano mnie w przedszkolu eksperymentalnym jako pierwszą na świecie żywą zabawkę.

Coraz bardziej wczuwam się w swoją rolę. Wczoraj nawet oświadczyłem się o rękę Ani ze starszej grupy.

Roman Wiśniewski

MINUTA MYŚLENIA

Zaproszenie na trzeci peron

PARĘ tygodni temu byłem na Dworcu Wschodnim w Warszawie. Wznoszony dopiero nowy jego budynek milczy swoją obojętnością dla podróżnych. Po zlikwidowaniu dotychczasowej, a ustabilizowanej już nieco dwudziestodwuletniej prowizorki prowizorka jeszcze większa. Tu kasy, tu trójkąt i koło, tam wyjście do miasta. Trochę się człowiek w tym gubi i być może dlatego nie zauważyłem, że od ładnych kilkunastu minut dobijał się do moich uszu głos z megafonu: „Robotnik stacyjny zgłosi się do dyżurnego ruchu przy peronie trzecim".

Kiedy na skutek wielokrotności bodźca obudziła się we mnie świadomość faktu, zacząłem znajdować własne w stosunku do niego stanowisko. Nie przeczę, że pierwszym odruchem było zdumienie: czy decyzje organizacyjne w obrębie jednej instytucji przekazywane być muszą pracownikom via wiadomość publiczna? Naczelnik wydziału raczej nie kieruje swoimi referentami za pośrednictwem komunikatów prasowych. Rychło jednak zdumienie to uspokoiłem tłumacząc sobie, że może węzeł kolejowy jest terenem pracy zbyt rozległym dla doraźnej komunikacji wewnątrzorganizacyjnej, w dodatku węzeł stołeczny i znajdujący się w stadium przeobrażeń.

Ale wtedy dopadła mnie wątpliwość inna: czy robotnik stacyjny jest pracownikiem tak trudno osiągalnym dla swego dysponenta, że łowić go trzeba prawie półgodzinnym wywoływaniem? Spokój komunikatu zdawał się wskazywać na to, że tego rodzaju praktyka jest zjawiskiem dość powszechnym. Coś tu nie gra. Albo kierownik węzła nie bardzo orientuje się w rozkładzie prowadzonych robót, albo robotnik daleki jest od rzeczowego traktowania do siebie kierowanych poleceń. Ale dlaczego w ten stan rzeczy angażować podróżnych? Ba, starszyć ich? Bo w takim razie nie mogę mieć pewności, czy maszynista pociągu, którym pojadę, nie pójdzie w ślady robotnika stacyjnego i nie zbagatelizuje zamkniętego semaforu pakując swoich podopiecznych na cysterny z benzyną.

Przyznam, że w tym momencie rozpędzone wagony moich zarzutów uczuły jakiś samoczynny hamulec. Pomyślałem sobie: no, tak wszystko obracam przeciw biednemu robotnikowi stacyjnemu, ale czy ja, ja, który to piszę sam zawsze jestem na posterunku? Tym hamulcem dałem wyraz swemu i twemu, Czytelniku — poczuciu sprawiedliwości, ale wątpliwość mimo to nie ustała. Bo nie chodzi mi o sprawę jednostkową, to znaczy wyjątkową — niech wyleją mnie i robotnika. Chodzi o stałą praktykę, a ta niepokoi. Niepokoi tym, że to wielominutowe nawoływanie uważa się za coś normalnego. Że nie widzi się innego toku pracy niż ten, według którego na zakręcenie śrubki przy trzecim peronie trzeba szukać pracownika prawie po całej prawobrzeżnej Warszawie. Że pojawią się gorące sprostowania i rzeczowe uzasadnienia przeciw wszelkim próbom starającym się ten stan rzeczy naruszyć. Że wreszcie niedorzeczność, która się u nas parę razy powtórzy, otrzymuje sankcję społeczną. Czy robotnik, który jest tyle razy wzywany na ów nieszczęsny peron nie może uznać, że nie zgłaszając się od razu nie jest mimo to nie w porządku?

To, co jest uchybieniem, co jest niedomaganiem awansuje się do poziomu prawidłowości. I to publicznie, powszechnie, wobec całej jeżdżącej koleją Polski.

Ijon

FELIETON Z REZERWY

Smuga cienia?

CHEŁM Lubelski to miasto mego dzieciństwa i lat młodzieńczych. Tu przeżyłem lata pokoju i lata wojny. Tu chodziłem do szkoły. Tu powstały me pierwsze wiersze i pierwsze informacje, które później z dumą oglądałem na szpaltach lubelskiego dziennika.

Zawsze czuję sentyment do Chełma, chociaż miasto to bardzo się ostatnio zmieniło. Obok cementowni wyrosło wielkie osiedle. Kiedyś były tu łąki i wielkie kredowe wzgórza. Dziś mogę jednak godzinami spacerować po ulicach i nie spotkać żadnej znajomej twarzy. Koledzy rozjechali się po Polsce, niektórzy są nawet na placówkach zagranicznych. Czasami w warszawskiej, krakowskiej czy wrocławskiej książce telefonicznej natrafię na znajome nazwisko i imię. Dzwonię na chybił trafił. Tak jest, zgadza się! To właśnie Jurek, Lusiek czy Bogdan. Pozakładali rodziny, mają dzieci i często piastują odpowiedzialne stanowiska. Spotykamy się wieczorem, sączymy wzmocnione napoje i wspominamy dawne czasy. Pamiętasz? Pamiętasz? Pamiętasz? Jakże nie pamiętać? Jak zapomnieć naszego łacinnika, profesora M. Kińczyka, kiedy stale kołaczą się w głowie wiersze, które kiedyś wkuwaliśmy po nocach? „Dicamus bona verba, venit natalis ad aras..." Albo: „Non ego divitias patrum fructusque recviro". Może to się inaczej pisze, lata lecą, ortografia łacińska też wietrzeje, ale mogą mnie zbudzić z głębokiego snu — zarecytuję bezbłędnie!

Albo lekcje języka polskiego z panią Zofią Książkówną! Mieliśmy w szkolnym teatrzyku wystawiać III część „Dziadów", toteż lekcje przemieniły się w próby, brzmi mi w uszach tubalny głos Pyrowicza i monolog Kordiana w wykonaniu Karczewskiego... Później nie mogliśmy nadążyć z materiałem i przed maturą schodziliśmy się po południu w prywatnym mieszkaniu naszej profesorki i uzupełniali wiadomości z literatury. Skończyła się na Młodej Polsce. Skamander, futuryzm nie był przewidziany w ówczesnym programie. Ja wolałem Przybosia od Asnyka, ale należałem do wyjątków w naszym kole literackim im. Kasprowicza. Bo i takie było koło, gromadzące uczniów z różnych klas szczególnie interesujących się poezją. Chyba niemal wszyscy zdradzili później poezję. Niektórym poezja utorowała jakby drogę do dziennikarstwa. Bielecki siedzi w „Polityce", Winiarski w „Słowie Ludu", Inni wybrali jednak bardziej konkretne zawody. Są inżynierami, lekarzami, ekonomistami...

Chełm... Miasto pierwszych spacerów nad Uherką, już nie samotnych. Pozostał wpis w młodzieńczym pamiętniku z kolorowym rysunkiem. „Człowiek jest jak strzała, co mknie i ginie. Nie wie, co czeka z każdą dobą. Dziś jestem w Chełmie, jutro w innej mieścinie, myślami tylko chcę przebywać z Tobą". Gdzie dziś jesteś, Irko, autorko tego wierszyka? To były czasy! Nie wypiliśmy wspólnie nawet dwóch kieliszków „Czaru PGR"! A przecież miałem już własne pieniądze, pierwsze honoraria. Ba! Nie zatańczyliśmy też ani razu. Ganialiśmy tylko po łąkach, trzymając się za ręce, albo czytali głośno nad rzeką wiersze Tuwima, Iwaszkiewicza, Przybosia. Ten ostatni poeta sprawiał ci największą trudność. Zdaje się, że nie zdołałem cię przekonać do jego utworów.

Wpadam w dziwny nastrój. Czyżby to ta czterdziestka na karku? Smuga cienia? Na dworze świeci przecież słońce...

MAJ

NOTY i notki

W OSTATNICH DNIACH znaleźliśmy w prasie lubelskiej kilkakrotnie dwa sąsiadujące ze sobą komunikaty. W jednym Miejski Dom Kultury wzywał chętnych do uprawiania w jego pomieszczeniach tańca nowoczesnego, w drugim Wojewódzki Dom Kultury zachęcał do zapisywania się na organizowane przez siebie kursy tańca towarzyskiego. W ogniu współzawodnictwa obu placówek pracy kulturalnej zaczęliśmy mieć wątpliwości, czy taniec towarzyski jest nowoczesnym, a nowoczesny towarzyskim

A JEDNAK WARTO nie tylko czytać Trylogię, ale i czasem zastanowić się nad tym, co się czyta a potem, co się pisze. W „Gazecie Białostockiej" (nr 225) pisząc o miodzie (jp) stwierdza lekkomyślnie: „Pracowite pszczółki dostarczają nam 900 ton przedniego miodu, wcale chyba nie gorszego niż ten, w którym lubował się Zagłoba". No cóż, — Zagłoba lubował się w całkiem innym miodzie niż ten, który dostarczają pszczółki, zawzięte abstynentki. Strach pomyśleć, co by było, gdyby zaczęły pracować w pijanym widzie.

„NA 1 792 MIEJSCACH upchnięto 2 342 uczniów" — stwierdza z niejakim oburzeniem „Słowo Ludu" pisząc o kieleckich internatach. Wynika z tego, że na jednego ucznia wypada 0,765 miejsca. Całe szczęście, że uczennicom chyba powodzi się lepiej.

CO ROKU NA JESIENI polowa Lublina zatruwana jest okropnymi zapachami z cukrowni. Jak doniósł(a?) w „Sztandarze Ludu" (b s.) „dyrektor cukrowni inż... proponuje (jest to jego wniosek racjonalizatorski) wywozić co dzień w stanie płynnym ciężkimi cysternami prosto na pole"... A codzienne produkowanie fektoru leży w normalnych obowiązkach dyrektora, czy też jest objęte pojęciem racjonalizacji?

TYGODNIK WOJSK LOTNICZYCH „Wiraże" zamieścił w nr 39 „Powrót z urlopu" z nadtytułem „Opowiadanie prawdziwe". Najpierw dowiadujemy się, że niejaki szeregowiec Krawczyk przed wyjazdem na urlop co najmniej 13 razy czyścił buty — co nas, czytelników, wprawiło w niejakie zdumienie i podziw. Na końcu przeczytaliśmy, że gdy wrócił, na wartowni kapral skonfiskował mu butelkę „Pieprzówki". Zdarza się. Ale z rozkazu przewidującego kaprala inny szeregowiec stał za oknem, przez które ów kapral wylewał „Pieprzówkę", uważnie nadstawiając menażkę pod strużkę alkoholu. Naszym zdaniem, ani to prawdziwe, ani moralne, a najmniej dowcipne.

Z PRZERAŻENIEM CZYTALIŚMY ostatnio w „Kurierze Lubelskim", że „prokurator wydał nakaz aresztowania przeciwko". Prosimy prokuratora, aby za taką polszczyznę nie wydał nakazu aresztowania przeciwko autorowi i adiustatorowi, ale po prostu nakazał ich aresztowanie.

WSZYSCY DZIENNIKARZE wiedzą, że wymyślenie klarownego, krótkiego i chwytliwego tytułu nie jest łatwe. Ale co ma oznaczać taki dziwoląg, którym opatrzono felieton R. Jarockiego w nr 18 „Faktów i Myśli": „Kiedy skutki nie dają rezultatów"?

„LIKWIDUJEMY ŚWIŃSKIE CYKLE" — to więcej niż wieloznaczny tytuł ze „Słowa Ludu" (nr 265). Pikanterii dodawało mu jeszcze ostatnie zdanie. „Stabilizacja świńskiego stada jest... problemem, którego nie wolno lekceważyć".

WE WSI GORNO pod Kielcami już dwa dni trwało huczne weselisko w stodole, gdy tuż przed wrotami wylądował przymusowo szybowiec. Pilot wrócił na lotnisko z bolącą głową i zjawami przed oczyma dopiero po trzech dniach, po kilkakrotnym locie do Rygi. No cóż — weselisko musiało tradycyjnie trwać pięć dni.

HISTORIA O PODOBNYM wydźwięku wydarzyła się w Dynowie pow. Brzozów. Była tam międzyzakładowa świetlica, jedyny obiekt kulturalny w okolicy. Ale główni księgowi przedsiębiorstw, finansujących świetlicę, doszli pewnego dnia do wniosku, że powinna ona być dochodowa. Ponieważ oczywiście być nie mogła, a świetlicowy sprzeciwił się wprowadzeniu wyszynku, po prostu obcięto dotacje i świetlica przestała istnieć. Główny księgowy GS notuje teraz wzmożony popyt na piwko, które coraz częściej zamienia się na zwykłą wódę.

KIELECCY PLASTYCY nie mają łatwego żywota. W klubie MPiK kilka obrazów pocięto żyletkami, z sali WDK kilka innych ukradziono. Może więc wystawy plastyczne urządzać w komisariatach MO lub izbach wytrzeźwień? Ochrona jest na miejscu.

KONKURS NA SŁUCHOWISKO

Naczelna Redakcja Audycji Literackich Polskiego Radia ogłasza konkurs otwarty na słuchowisko współczesne. Konkurs ten jest jednocześnie pierwszym etapem międzynarodowego konkursu, organizowanego przez rozgłośnię Zagrzeb, Praga i Warszawa.

Czas trwania słuchowiska nie powinien przekraczać jednej godziny, co odpowiada mniej więcej 30 stronom znormalizowanego maszynopisu (30 linijek na stronie).

Prace nadesłane na konkurs nie mogą być uprzednio nigdzie publikowane w całości ani we fragmentach. Należy je nadsyłać do 15 grudnia 1967 roku w trzech egzemplarzach maszynopisu, zaopatrzonych w godło. Zaklejona koperta dołączona do prac, oznaczona tym samym godłem, powinna zawierać imię, nazwisko i adres autora. Prace nadesłane na konkurs nie będą zwracane.

Do 15 lutego 1968 roku jury konkursu, po rozpatrzeniu nadesłanych tekstów, przyzna następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagroda — 25.000 zł, II nagroda — 20.000 zł, III naroda — 15.000 zł, 5 wyróżnień po 5.000 zł.

Spośród nagrodzonych słuchowisk jury wybierze dwa utwory i prześle je do Pragi jako reprezentujące Radiofonię Polską w konkursie międzynarodowym. Wyniki konkursu międzynarodowego ogłoszone będą 5 kwietnia 1968 roku.

Prace konkursowe należy kierować pod adresem: Polskie Radio, Naczelna Redakcja Programów Literackich, Warszawa 1, skrytka pocztowa 46 z dopiskiem na kopercie: „Konkurs na słuchowisko".

Komunikaty

Konkurs na powieść zorganizowany przez CRZZ i Wydawnictwo „Śląsk"

Zbliżająca się rocznica powstania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej będzie sprzyjającą okazją do retrospektywnego spojrzenia na proces rozwoju naszego społeczeństwa, na złożone i skomplikowane dzieło kształtowania nowych stosunków produkcji i nowego układu stosunków społecznych.

Naukowe odzwierciedlenie tych procesów przerasta artystyczną egzemplifikację tej problematyki i dlatego Centralna Rada Związków Zawodowych — organizacja reprezentująca szerokie rzesze ludzi pracy — oraz Wydawnictwo „Śląsk" działające w największym skupisku polskiej klasy robotniczej i inteligencji technicznej, pragnąc powiększyć literacką dokumentację dokonujących się procesów przeobrażenia się nowego społeczeństwa ogłaszają w porozumieniu z Zarządem Głównym Związku Literatów Polskich konkurs otwarty na powieść o tematyce wynikającej z szeroko pojętej problematyki różnych form pracy ludzkiej i przemian społecznych przede wszystkim w procesie socjalistycznego budownictwa w Polsce Ludowej. Chodzi zatem o utwory, które tę problematykę potraktują nieschematycznie, ale jako podstawę do budowania szerokich planów konfliktowych sytuacji politycznych, moralnych, obyczajowych, psychologicznych, do ukazywania całokształtu złożonych spraw stosunków międzyludzkich, powstających w procesie pracy i określających los współczesnego człowieka w formującym się społeczeństwie socjalistycznym.

Przewidziane są następujące nagrody:

I nagroda	40 tys. zł
2 II nagrody po	25 tys. zł
3 III nagrody po	15 tys. zł
4 wyróżnienia po	5 tys. zł

Jury konkursu zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Skład jury ogłoszony zostanie w terminie późniejszym.

Wydawnictwo „Śląsk" zastrzega sobie pierwszeństwo druku nagrodzonych prac.

Termin składania prac konkursowych w 3 egzemplarzach maszynopisu wraz z kopertami zawierającymi nazwisko i adres i opatrzonymi godłem upływa z dniem 28 lutego 1968 roku. Prace należy przesyłać na adres: Wydawnictwo „Śląsk", Katowice, ul. Stawowa 19.

CENTRALNA RADA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
WYDAWNICTWO „ŚLĄSK"

Październik — Miesiącem Dobroci dla Zwierząt

Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w PRL zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli, którym los zwierząt nie jest obojętny i którzy w stosunku człowieka do innych istot żywych upatrują nie tylko sprawę zwierząt, ale również sprawę ludzi — o wpłacenie choćby najmniejszych datków na specjalne konto w PKO I O/M Warszawa, czynne jedynie w październiku 1967.: Nr 1-9-121911 — Miesiąc Dobroci dla Zwierząt.

Zwierzęta towarzyszą człowiekowi od zarania historii ludzkiej. Zwierzęta nas żywią, ubierają, pracują na roli, strzegą naszych domostw, naszego mienia, pomagają nam w walce z gryzoniami, są obrońcami naszych plonów, utorowały człowiekowi drogę w Kosmos, więc są nam użyteczne i dochodowe. Zwierzęta są często radością naszych dzieci; dziecko opiekujące się zwierzęciem uczy się jednej z cech tak potrzebnej w życiu rodzinnym, koleżeńskim, społecznym — opieki nad słabszym. Za wszystko co nam dają zwierzęta, swoim życiem i swoją śmiercią, należy odpłacić im się dobrym traktowaniem.

Stosunek do zwierząt jest barometrem cywilizacji, a humanitaryzm wiąże się nierozerwalnie ze zwalczaniem szkodnictwa gospodarczego. O tym wiedzą wszyscy — ale nie zawsze o tym pamiętają. Towarzystwo przez inspekcje w rzeźniach, w punktach skupu, transportach zwierząt rzeźnych, na bazarach i targowiskach, w składnicach węgla, w zwierzętarniach doświadczalnych itp. chroni zwierzęta od zbędnych cierpień zadawanych przez człowieka. Zwiększenie pomocy, jakiej zwierzęta od nas oczekują, zależne jest od zwiększenia możliwości finansowych Towarzystwa.

Maria Dąbrowska pisała kiedyś do Towarzystwa, że „ze wszystkimi postulatami Towarzystwa zgadzam się bez wahania i strzeżeń, a jego wytrwałą i ofiarną walkę z okrucieństwem wobec zwierząt uważam za walkę o godność kultury moralną i wyższą cywilizację naszego społeczeństwa". Te słowa dzielimy ze wszystkimi ludźmi dobrej woli, którzy chcą nam pomóc w krzewieniu humanitaryzmu wobec zwierząt.

PREZYDIUM
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
TOWARZYSTWA OPIEKI
NAD ZWIERZĘTAMI W PRL

wieś tworząca w „KAMENIE"

Ziemia i Pieśń

Rok III Październik 1967 Nr 8

Laureaci z Bukowiny

Pierwsze nagrody zdobyli: Adam Pach z Zakopanego i Marian Mikuta z Tarnowa, drugie Andrzej Skupień Florek z Zakopanego i Stanisław Kurzeja z Limanowej, trzecie Agnieszka Bukowska i Tadeusz Jurasz.

Andrzej Skupień Florek (z prawej) oraz 14-letnia Anna Bobek (w środku) wraz z góralem, akompaniującym jej na gęślikach.

Fot. St. Burakiewicz

Cepr na pogwarkach

STANISŁAW BURAKIEWICZ

BYŁO sobie dwóch górali, z których każdy chciał sprzedać na jarmarku swoją krowę. Spotkali się po drodze i wstąpili do karczmy na piwo. Gdy zamiast piwa zjawiła się wódka doszli do wniosku, że mogą krowy zamienić między sobą. Ale gdy nie mogli się zgodzić co do ich wartości, jeden zaproponował drugiemu: jak zjesz żabę, dostaniesz moją za darmo. Pierwszy zjadł niemal połowę żaby, ale więcej nie dał rady i zakład przegrał. Drugi też zjadł część, ale reszty nie mógł. Gdy wytrzeźwieli doszli obaj do wniosku: każdy z nas po dawnemu ma swoją krowę, więc po co jedliśmy tę wstrętną żabę.

Albo drugi wypadek, podobno autentyczny.

Na chrzciny u Wojtka Roga zaproszono oczywiście sławnego w Zakopanem dr Chałubińskiego. Przed wyjściem golił go własnoręcznie Sabała-Krzeptowski, plując potężnie raz na mydło, raz na pędzel. Gdy dobroduszny zwykle doktor jednak się oburzył na taki brak higieny, Sabała odpowiedział: was szanuje przecież, doktorze, innemu plułbym prosto na gębę.

Oto treść dwóch gawęd góralskich, opowiedzianych niedawno w Bukowinie Tatrzańskiej na pierwszym konkursie gawędziarzy ludowych, a pochwalonych przez więcej niż szczelnie wypełnioną salę zupełnie prawdziwą burzą oklasków. Oczywiście od krótkiego streszczenia do samej gawędy droga bardzo daleka. Przede wszystkim sam język góralski, dosadny, rubaszny, miły, choć nie zawsze w pełni zrozumiały dla ucha zwykłego cepra z dolin. Do tego galowy strój góralski z pasem skórzanym szerokości przynajmniej 25 cm, metalem okuta ciupaga, wymowna gestykulacja, głos tonowany a sugestywny, za oknami szczyty gór, pławiące się jeszcze w czerwieni zachodzącego słońca...

Za te dwie gawędy Adam Pach z Zakopanego słusznie potem otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie. Nic dziwnego — przecież to po kądzieli wnuk słynnego gawędziarza Sabały. Mimo wielu krzyżyków na nieco tylko przygarbionych plecach wygląda jeszcze doskonale, chociaż choroba uszu systematycznie pozbawia go słuchu.

W konkursie wzięło udział 20 gawędziarzy — z Bukowiny, Zakopanego, Wadowic, Rabki, Jabłonki, Limanowej, także z Krakowa i Tarnowa, a nawet z czeskiego Trzcińca. Były także 4 gawędziarki, a wśród nich najmłodsza, 14-letnia Anna Bobak ze wsi Ząb za Gubałówką. Obok nich popisy solowe i zespołowe gry na gęślikach, dzwonkach od krów i owiec, kozie, trąbicie i zwykłych liściach, szopka i ogniste tańce.

Było to urokliwe, dwudniowe święto góralskiego folkloru. Gdy zaś wieczorem przeniesiono je z estrady Domu Ludowego do pobliskiej Niebieskiej Doliny, gęsto obrosłej wysokimi świerkami i oświetlonej olbrzymim ogniskiem — zdało się, że wróciły czasy zbójników. Tyle, że rolę harnasia-przywódcy spełniała inna młoda a wielce przystojna i pełna temperamentu Góralka.

Znawcy tatrzańskiego folkloru mówią na ucho, że w samym Zakopanem autentyczna góralszczyzna już niemal zanikła. Prawie wszystko, co jeszcze jest, robi się dla turystów, stąd skomercjalizowany folklor staje się już nie tylko przesłodzony, ale po prostu coraz bardziej zafałszowany. W Bukowinie Tatrzańskiej, która jeszcze nie została przedmieściem „zimowej stolicy Polski" autentyzmu znacznie więcej.

Podobno należymy do tych krajów, gdzie ludowego folkloru przetrwało stosunkowo najwięcej. Ale przecież i na konkursie dały o sobie znać tak niebezpieczne tu wpływy estrady. Nie zabrakło bowiem i popisów rzekomo gawędziarskich, a w rzeczywistości nawet kabaretowych. Zresztą i sama nazwa konkursu — Sabałowe bajania — nie była słuszna, jak to z zapałem dowodzili mi i Adam Pach i zdobywca drugiego miejsca Andrzej Skupień Florek. Bajanie bowiem — jak mówili — to babskie plotki przy wyrabianiu ciasta, a być powinno nie bajanie, a pogawarki, gadki czy po prostu gawędy.

Braki regulaminu spowodowały nie tylko to, że trzeba było dopuścić do owych estradowo-kabaretowych popisów. Wystąpili również ludzie, którzy od lat 40 i więcej przebywają stale w Krakowie czy Tarnowie, zdobyli dyplomy inżynierskie lub nauczycielskie i raczej dla towarzyskiej zabawy powtarzają wyuczone z książek lub zasłyszane przy jakiejś okazji góralskie gawędy.

A w ogóle największym minusem imprezy było to, że wśród 40 gawęd ani jedna, dosłownie ani jedna nie miała mniej niż 50 czy nawet 70 lat. Bardzo to pięknie, że kultywuje się stare tradycje, że gawędziarstwo utrzymuje się w niektórych rodach z ojca na syna. Ale to równocześnie jest dowodem, że nie powstaje nic nowego, że od dawna już jesteśmy tu w stagnacji, że zamarła twórcza myśl gawędziarska. Nie chodzi przecież o to, aby ze współczesnej gawędy zrobić produkcyjniak. Niech zostanie nawet złośliwy czy kochliwy diabeł, ale czyż nie może on płatać figli przewodniczącemu rady narodowej, jak niegdyś płatał harnasiowi czy później sołtysowi? Równocześnie z „Sabałowymi bajaniami" odbywała się w Zakopanem sześciodniówka motocyklowa, zawodnicy przejeżdżali również przez Bukowinę. Czy i na tym tle nie można stworzyć gawędy, współczesnej a równocześnie pełnej uroku? Gdy przy ognisku w Niebieskiej Dolinie jedna z Góralek zaczęła mówić wiersz „Warszawianka w piekle" już — już zdawało się, że będzie coś z dzisiejszych czasów. Ale pod koniec okazało się, że w owym piekle smażył się również Bismarck jako ostatni z przybyszów.

Oczywiście na siłę nic się tu nie działa. Myślę, że oprócz tradycji rodzinnych wiele mogą zdziałać świetlice i kluby, a przede wszystkim szkoły. Trudność wprawdzie w tym, że żaden program szkolny o jakimś gawędziarstwie nawet nie wspomina — no ale to już zależy od inicjatywy nauczycieli, powiatowych inspektoratów, a nawet krakowskiego czy rzeszowskiego kuratorium.

Jeszcze dwie inne sprawy chciałbym wytknąć organizatorom. Podczas gdy w Domu Ludowym odbywała się owa impreza, tuż obok w gospodzie, zwanej szumnie restauracją, można było dostać wszelkie ilości napojów alkoholowych, mimo że to była sobota i dla wielu ludzi także dzień wypłaty. Byli więc tacy co krążyli pomiędzy obu salami, przyjmując za niesmaczny dowcip jedną z gawęd, która skazywała na pójście do piekła butelkę wódki za to, że tyle nieszczęść spowodowała na ziemi. Rozdrobnienie zaś nagród na niemal wszystkich uczestników powodowało, że pokaźna ich część całą nagrodę zostawiła w gospodzie.

A jednak mimo tych wszystkich zastrzeżeń chciałbym pochwalić i samą imprezę i organizatorów. Zapowiadając urządzenie za rok drugiego konkursu zdawali już sobie sprawę z większości braków pierwszego. Można więc mieć nadzieję, że jedna z najpiękniejszych tradycji naszej góralszczyzny — owe gawędy, pogwarki czy gadki — odżyje z całym swoim bogactwem języka i treści, że zainteresuje się nimi także i młode pokolenie, że wreszcie gawęda wkroczy i w dzień dzisiejszy.

A swoją drogą warto także pomyśleć o zorganizowaniu podobnych konkursów w innych rejonach kraju.

„Chodziłem wierzbą po łąkach"...

50 LAT temu, w dniu 17.V.1917 roku w Kaleniu, pow. Puławy, urodził się Jan Pocek — jeden z najwybitniejszych — obok Kajetana Sawczuka i Stanisława Bojarczuka — ludowych poetów Ziemi Lubelskiej. Swojej wsi rodzinnej twórca pozostał wierny do dzisiaj. Tu ukończył szkołę podstawową, tu również jeszcze przed II wojną światową zaczął pisać i publikować pierwsze utwory. W okresie okupacji brał udział w ruchu oporu, współpracując m. in. ze Stefanem Rodakiem („Rolą") w szeregach Batalionów Chłopskich. Nie porzucił pióra również i w tym czasie, pisząc wiersze o silnych akcentach patriotycznych. Po wyzwoleniu w roku 1947 ukazał się pierwszy tomik jego poezji pt. „Zgrzebne pieśni". Od tego czasu przez dwadzieścia lat nieustannie pisze i publikuje dziesiątki wierszy na łamach pism centralnych i regionalnych. W 1959 roku w konkursie poezji ludowej w Lublinie zdobywa pierwszą nagrodę, podobnie, w roku 1966 otrzymuje ją w ramach konkursu ogłoszonego przez Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych, w którym aktualnie pełni funkcję wiceprzewodniczącego zarządu. Kilkadziesiąt jego wierszy znalazło się w różnych antologiach („Wieś Tworząca", „Od Bugu do Tatr i Bałtyku", „Wiersze proste jak życie" itd.). Rok 1963 przynosi mu drugi samodzielny tomik poezji pt. „Malwy". O szacunku i randze jego dorobku świadczy fakt, że został wybrany delegatem Lubelszczyzny na Kongres Kultury Polskiej. Stał się też bohaterem krótkometrażowego filmu zrealizowanego przez amatorski klub filmowy przy WDK w Lublinie. Jubileusz jego skwitował Wydział Kultury PWRN przyznaniem mu nagrody pieniężnej. W lipcu br. spotkało poetę największe wyróżnienie — z rąk przewodniczącego PWRN mgr Pawła Dąbka otrzymał nagrodę wojewódzką za całokształt twórczości.

Tyle faktów, które aczkolwiek konieczne, nie potrafią oddać tego, co można wyczytać z jego wierszy. Poezja Pocka to niewątpliwie jedno ze szczytowych osiągnięć literatury ludowej w Polsce. Jego wiersze są właściwie obrazami (nic dziwnego, Pocek jest również bardzo utalentowanym, chociaż w tej dziedzinie prawie zupełnie nie znanym malarzem), malowanymi przy użyciu różnobarwnej palety. Oto np. autor opisuje noc w lesie:

na gniazdo lasu
z pisklętami sosen
usiadła
czarna jaskółka nocy
z barwnym owadem
w dziobie — wrzosem.

Pocek to jednak nie tylko wspaniały pejzażysta, malarz, który w otaczającej go codzienności dostrzega nawet najmniejsze okruchy piękna, to również prawdziwy liryk. Jego utwory pełne są głębokiej zadumy nad sensem i celem życia ludzkiego, nad szukaniem najwłaściwszych rozwiązań i dróg w tej niełatwej doczesnej wędrówce, nad pracą, której celem jest jeszcze lepsza przyszłość narodu. Wiersze autora „Malw" to pochwała trudu rąk chłopskich, to hymn na cześć pracy i życia na wsi.

JAN POCEK

chłopskie wiersze

pękami wonnego ziela
porosły te chłopskie wiersze
na dróg rozstajach i miedzach
na łące przy krętej ścieżce

upałem lipcowym kwitną
na skrzydłach pliszek i kosów
nad ziemią gryczano-żytnią
nad ziemią płonącą rosą

wieśniaczki chodzą tu stare
wspierając kijem swe kroki
i rwą je do małych kobiałek —
leki na ludzką tęsknotę

Rzadko można spotkać tak żarliwe wyznanie miłości do ziemi ojców, do wsi, jej krajobrazu, ludzi i problemów, jak u Pocka, który pisze:

ja nie wiem jak ludzie żyć mogą
bez lasu bez pól i nieba —
nie chodzić szarą wiejską drogą
nad którą wierzb złotych nie ma

Czy można się dziwić, że poeta — samouk, który dzisiaj doszedł do imponującej wiedzy o literaturze, z którym można podyskutować o Czechowiczu i Nerudzie, Achmatowej i Różewiczu, Steinbecku i Iwaszkiewiczu — całą swą twórczość dedykuje wsi, pisząc:

idzie ma twórczość ku wioskom
ku ziemi
chłopskim szerokim krokiem
bo jej najpiękniej w wiejskich
chałup dymie
w jesieni polskiej złocie

Sam twórca, człowiek wyjątkowo skromny, uważa, że tacy, jak on poeci, tylko torują drogę pod strzechy „prawdziwej" poezji, poezji dziś jeszcze może zbyt trudnej dla chłopa, poezji Różewicza, Przybosia i innych. Trudno się z tym zdaniem pogodzić, bo wydaje się, że takich wierszy, jakie tworzy Pocek, nie można traktować jako przedsionka literatury. Poezja jest tylko jedna, wiersze natomiast mogą być dobre lub złe, zrozumiałe dla wszystkich, lub pisane dla żony i trzech przyjaciół, którzy — z pomocą autora — potrafią odczytać sens (jeśli taki w ogóle w tej szaradzie jest) utworu.

Poezja Pocka nie jest szaradą, jest prosta i piękna, trafiająca do czytelnika na wsi i w mieście. Pozwala ona poznać duszę chłopa polskiego, zrozumieć, jak głębokie przemiany nie tylko w metodach gospodarowania, wyglądzie wsi, jej kulturze itp., ale i w psychice mieszkańców zaszły dzięki władzy ludowej. Wiersze Pocka uczą kochać kraj i jemu oddawać wszystkie siły i nie sposób przejść obok nich obojętnie.

Z okazji jubileuszu poety dołączamy i my życzenia: Ad multos annos! — piewco poezji skowronków, pszczół i polnych koników, szumu falujących zbóż i ukwieconych łąk.

R. R.

Poetka z Ziemi Białostockiej

W DNIU 1 lipca br. minęła 50 rocznica urodzin najwybitniejszej poetki ludowej Ziemi Białostockiej — Melanii Burzyńskiej, mieszkanki wsi Jaświły, pow. Mońki, której sylwetkę publikowaliśmy na łamach „Ziemi i Pieśni" nr 4 w czerwcu 1966 roku. W przeciwieństwie do zdecydowanej większości samotnych twórców spod strzechy sięga ona chętnie po współczesną formę, podporządkowując ją — oczywiście — zawsze problemom, które mocno tkwią w otaczającej nas rzeczywistości. Stąd w wierszach Burzyńskiej tak dużo akcentów aktualnych zagadnień społecznych, stąd tyle troski o lepsze jutro Polski, o pokój na całym świecie. I jeszcze jedno: obok typowego dla piewców życia wsi wyczulenia na piękno przyrody, poetkę cechuje umiłowanie i głęboki szacunek dla pracy rolnika, współtwórcy tego wspaniałego krajobrazu. Z okazji jubileuszu życzymy Jubilatce wielu nowych wierszy, pełnych głębokiej treści i prawdziwego artyzmu.

MELANIA BURZYŃSKA

Praca jest najpiękniejszym wierszem

Ja nie umiem pisać pięknych
wierszy,
za twarde są moje ręce
i chropowata myśl
zatroskana pracą,
za biały i za delikatny jest papier
na moje twarde wiersze
z twardych wychodzące rąk.
Mnie trzeba pisać stalą narzędzi
rolniczych
na szorstkim i czarnym papierze
ziemi
wiersz
szarej pracy.
Mnie trzeba w żyły ziemi —
jej skiby
zrobić transfuzję mego potu,
by one zaczęły pulsować
rzędami pięknych okopowych.
Mnie trzeba zapisać szarzyznę ziemi
zielonością wiosennych upraw,
by z nich wyrosło złoto lata
i wśród owocnych rumieńców
uśmiech jesieni.

Jaświły, pow. Mońki

KATARZYNA ZABOROWSKA

Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych w Lublinie stracił swego pierwszego członka, Katarzynę Zaborowską, znaną jako „Kaśka spod Łysicy", tak bowiem zwykła nazywać samą siebie ta najstarsza poetka ludowa. Urodziła się 16 listopada 1882 r. w Wilkowie, pow. Kielce w rodzinie małorolnego chłopa. Z wioską tą związała się na całe życie. O jakimkolwiek wykształceniu nie było w jej przypadku w ogóle mowy. Od najmłodszych lat musiała zarabiać na swoje utrzymanie, służąc u bogatych gospodarzy. Po 16 latach tej pracy, w 1905 roku, wyszła za mąż i odtąd mogła pracować już na swoim kawałku ziemi i wychowywać dzieci. Czytać nauczyła się na książeczce do nabożeństwa, ale później ta umiejętność — jak określiła to sama — „poszła w zapomnienie". Pisać nie umiała do końca życia. Wiersze zaczęła układać bardzo dawno, ponad 40 lat temu. Gdy podrosła jej córka, Józefa, dyktowała jej swe utwory i w ten sposób przynajmniej część dorobku została uratowana. Niestety, wyjątkowo wartościowe wiersze z okresu okupacji zginęły bezpowrotnie. Ze względu na głęboki patriotyzm i silne akcenty antyhitlerowskie trzeba je było ukryć. Ul, w którym je schowano, został jednak przez złodzieja okradziony z miodu, zaś utwory uległy zniszczeniu. Po latach autorka mogła odtworzyć z pamięci tylko skromną ich część. Kilkanaście lat temu straciła męża, zaś od kilku lat sama była przykuta ciężką chorobą do łóżka, z którego nie wstawała. Mimo to tworzyła aż do ostatnich dni życia. Dorobek jej jest jednak jeszcze bardzo mało znany. Poza kilkoma wierszami, drukowanymi w prasie regionalnej, wiersze jej znalazły się w antologiach: „Wiersze proste jak życie" i „Wieś, Tworząca". W planach Wydawnictwa Lubelskiego przewidziane jest wydanie jako kolejnego tomiku „Lubelskiej Biblioteki Ludowej" zbiorku jej poezji pt. „Sosna", który opracowuje dr Wanda Pomianowska.

Zyj nom Ojczyzno

Zyj nom, Polsko, długo, gdyś się odrodziela,
Bo po samych kolcach przed tym ześ chodziela.
Utraciełaś ojca, zostałaś sierota,
Przez to wróg do Ciebie miał otwarte wrota.

Bełaś krwiom oblono od chciwego wroga,
Dzieci Twe płakały, wzdychały do Boga,
Bronieły wolności wszystkiemi siłami
Za co ich więziono i bito kolbami.

Ogarnął lud smutek, aż każdy beł chory
A somsiad zabierał wsie, miasta i dwory.
Nawet wyrobywał te wspaniałe lasy,
Coś je Polsko miała dlo potrzeby nasy.

Dzielono się Tobom, jak kawałkiem chleba,
Nom łzy zostawały rzesiste jak z nieba.
W końcu wzieni wsystko, pocięli na cęście.
Zmieniely się plany — zwrócieli nareście!

Teroz zycie kwitnie, dostatek jest w kraju.
Strzeżmy skarb ten zawse, tak w styczniu, jak maju!
Pilnujmy gorliwie, jak we dnie, tak w nocy,
By znów niespodzianie wróg skądś nie naskocył.

Pilnujcie synowie, bo tych wrogów kilku.
Niech Polski nie depcą, jak te stada wilków.
Mijcie Ją w pamięci, jak źrenice w oku,
Stójcie na granicy wcioz z broniom przy boku.

Niech przestrogom bedą rozsiane mogiely
A Tobie, „Wiesławie", niech nie braknie sieły.
Niechze sie z tą Polską każdy naród licy
Bedzie sie i ciesyć Kaśka spod Łysicy.

Wilków, pow. Kielce

ELŻBIETA ROSIAK

Współczesne fraszkopisarstwo ludowe

HISTORIA fraszki polskiej jest dość bogata, datuje się bowiem w formie zapisanej od czasów Jana Kochanowskiego. Obok fraszek — nazwijmy je — oficjalnych, zapisanych, mamy również fraszki ludowe, które — jak pisze Stanisław Czernik w książce pt. „Humor i satyra ludu polskiego" — istniały jeszcze na długo przed autorem „Trenów". Ze względu na żartobliwy charakter chętnie popisywano się nimi przy tańcach, fraszka spełniała tu rolę przyśpiewki ludowej, w grach zbiorowych, zabawach itp. Niewątpliwie była ona popularna ze względu na krótką formę, łatwą do zapamiętania, bo rymowaną, jak też panujący w niej humor, z odcieniami ironii, satyry. Czernik wspomina nawet o fraszkach ludowych z dużymi odcieniami liryzmu.

Fraszka przetrwała zwycięsko próbę czasu i dziś również jest popularnym gatunkiem literackim. Uprawia ją z dużym powodzeniem wielu ludowych poetów, np.: Marian Karczmarczyk, Fryderyk Podolecki, Józef Małek, Władysław Laudański, Walenty Kunysz, Maria Kozaczkowa, Wacław Gutowski i inni. Co gwarantuje żywotność fraszki we współczesnej poezji ludowej? Przede wszystkim podejmowanie aktualnej, społecznie typowej problematyki, łapanie życia na gorącym uczynku, odzwierciedlanie go, ale nie tylko to, bo współczesna fraszka ludowa ma również ambicje dydaktyczne. Ze względu na możność umieszczenia jej na łamach czasopism, tak licznych w Polsce Ludowej, może być ona poważnym sojusznikiem w walce społeczeństwa z alkoholizmem, bezdusznością urzędniczą itd. Stąd jej duża wartość w kształtowaniu opinii.

Współcześni twórcy ludowi dążą do kondensacji słowa, dlatego fraszka rymowana bywa najczęściej dwuwersetowa i czterowersetowa, tylko w nielicznych przypadkach liczy osiem lub więcej wierszy. Duże efekty artystyczne osiągają poeci ludowi dzięki zastosowaniu porównań, homonimów, kalamburów słownych, często z wyzyskaniem przysłów ludowych.

Na szczególną uwagę zasługuje bogaty zakres tematyczny fraszek, które można podzielić na szereg grup: utwory wyszydzające zjawiska szkodliwe społecznie, fraszki obyczajowe, ośmieszające wady ogólnoludzkie, piętnujące przywary narodowe, dedykowane poezji ludowej, podejmujące aktualne zagadnienia polityczne itd.

Dużą rolę mają do spełnienia oczywiście fraszki podejmujące aktualne problemy społeczne, wskazujące na to wszystko, co szkodliwe, co złe, a więc: biurokratyzm, alkoholizm, nadużycia gospodarcze, rozwiązłość obyczajów itp. Niejednokrotnie utwory tego typu nie tylko wskazują same zjawiska, ale i ich przyczynę. Oto np. fraszka Józefa Małka pt. „Żywot pewnego sklepowego":

Manko.
Wdzianko.
Superata.
Krata.

Popularne są także fraszki ośmieszające modę, farbowanie przez kobiety włosów, noszenie długich czupryn przez chłopców, stylizowanie się i naśladowanie amantów filmowych itd. Sens ogólny tej grupy utworów sprowadza się do tego, że każą one oceniać człowieka nie w oparciu o jego wygląd zewnętrzny, lecz charakter, inteligencję, wiedzę i pracę.

Z wad ogólnoludzkich najczęściej wytykane są następujące: karierowiczostwo, dwulicowość, pycha, próżność i dewocja. Tę ostatnią tak oto ośmiesza Fryderyk Podolecki we fraszce pt. „Na dewotkę":

Gdy skończy ostatniego
sąsiada obmawiać

(by i Bogu dokuczyć),
różaniec odmawia.

Nie brak też fraszek ukazujących przywary typowe dla naszego narodu, wśród nich zaś przysłowiowy już słomiany zapał, obżarstwo, organizowanie tasiemcowych narad i konferencji, jubileusze, „lampki wina" itp.

Jeśli chodzi o fraszki dedykowane twórczości ludowej, ich rola sprowadza się do walki o docenianie dorobku samorodnych twórców spod strzechy, o prawo do publikacji, o szacunek wśród społeczeństwa i zrozumienie wśród swoich.

Jest rzeczą godną specjalnego podkreślenia, że podobnie jak i do innych gatunków literatury ludowej, tak i do fraszek przeniknęły najbardziej istotne problemy, którymi żyje świat współczesny: walka o pokój, o zaprzestanie działań wojennych w Wietnamie, o równouprawnienie wszystkich ras, o powszechną demilitaryzację. Oto np. fraszka Mariana Karczmarczyka pt. „Na rozbrojenie":

Zniszczcie wszystkie kule,
Nim nastąpi klęska.
Niech zostanie tylko
Jedna kula. Ziemska.

Fraszki o tematyce społecznej, politycznej, fraszki nie tylko ośmieszające wady, ale piętnujące wszelkie zło stające na drodze socjalizmowi i pokojowi — to zjawisko będące kompletnym novum w historii tego miniaturowego gatunku literackiego. Można bez przesady stwierdzić, że dzisiaj w sposób bardzo wyraźny wzrosła ranga fraszek. Być może ubyło im nieco elementów pobudzających do śmiechu, przybyło natomiast zdecydowanie więcej akcentów satyrycznych, demaskatorskich. Stąd utwory te — jak tego kiedyś żądał Ignacy Krasicki — bawiąc, uczą. W rękach utalentowanych twórców ludowych są z pewnością mocnym orężem w walce o postęp społeczny.

WŁADYSŁAW DREWCZYŃSKI

Milczek

Robiono milczkowi zarzuty codziennie,
że nie przemawia tylko duma sennie,
mimo że innych bardzo chętnie słyszy.
Atoli na tej wciąż milczącej kliszy
stworzył się obraz o stubarwnej gamie,
co mówi dużo i przy tym nie — kłamie.

Chojnice, woj. bydgoskie

STEFAN CHOJNOWSKI

Obce języki

Dziś obce języki
są w ogromnej cenie.
„Łacina" największe
miewa powodzenie.

Sobokleszcz, pow. Ciechanów

WACŁAW GUTOWSKI

Długie nie zawsze dobre

Mądry żył krótko,
Ale umarł w sławie.
Głupiec żyje długo.
Po co? — Ku poprawie.

Nowiny, pow. Krasnystaw

MARIAN STANISŁAW KARCZMARCZYK

Perły

Nie rzucaj pereł
przed wieprze.
Kartofle dla nich
lepsze.

Komarów, pow. Zamość

MARIA KOZACZKOWA

Analogie

Z małżeństwem i pieczywem
Podobnie się dzieje:
Bo z niej robi się babka,
A on — pierniczeje...

Dąbrowa Tarnowska

WALENTY KUNYSZ

Największa prawda

Największą prawdę głosi ludowe przysłowie:
Jak się masz kłaniać..., to się pokłoń głowie.

Kraczkowa, pow. Łańcut

WŁADYSŁAW LAUDAŃSKI

Z obserwacji

Najczęściej tylko nietypowy
Skacze po rozum do swej głowy,
Bo i dla typów
Nie brak stereotypów.
A tylu sądzi, że z truizmu
Skokiem dopadnie socjalizmu.

Baranowo, pow. Szczytno

JÓZEF MAŁEK

Usprawiedliwiony

Ma wadę wymowy: „r" nie wypowiada.
Więc nie kradnie biedak, a ciągle dokłada.

Boży Dar, pow. Rychwa

ADAM MIRKIEWICZ

Narzędzie zbrodni

Na co babie pałki, kije,
Jak językiem cię zabije.

Wilczków, pow. Wrocław

ZYGMUNT LUDWIK GAJEWSKI

* * *

Urodziłem się w chacie pod strzechą,
No i cóż! Nie jest tak źle —
Na podwórku zieloną wiechą
Stary klon powitał mnie.

Ciężką głowę schylił nad kominem,
Jakby zerknąć do wnętrza chciał z bliska.
Tuż pod oknem nagietki z jaśminem,
A za rowem pola i ścierniska.

I jak spojrzeć łąki się zielenią,
Hen! za rzeką widać smukłe drzewa.
Ponad nimi rozdartą czerwienią
Wczesne słońce pieśń poranną śpiewa.

Tam pod lasem jeszcze rogal wisi —
Wrócę tutaj wraz z jesiennym smutkiem,
Nie inaczej, Tak być przecież musi,
Że po latach wraca się wyrzutkiem.

Może przyjmą mnie łąki skoszone,
Las powitam, ucałuję sosny,
Włożę znowu buciory znoszone...
Wiem, że przyjdzie dzień taki radosny...

Tam wszystko będzie moje. I gwiazdy na niebie.
Leżę w stogu siana pod światłem księżyca...
Naprawdę wszystko moje, bo jestem u siebie.
Rogoża pachnie, mięta i wszystko zachwyca.

Ja nigdy stąd nie pójdę,
Niebo wezmę w dłonie,
Ściągnę je oburącz na szaloną głowę,
Utonę w jego głębi, tak jak muszla tonie...

Warszawa

STANISŁAW HARLA

Kropelka

W okienko moje cicho puka
Taka mała, taka mała kropelka.
Lecz pomnożona w srogiej burzy — do kaduka! —
Jest wspaniała, jest potężna, jest wielka...

Taka mała, taka mała kropelka
Pierwsza z nieba ofiarnie się rzuca,
Za nią inne... Aż ziemia, nasza żywicielka,
Orzeźwiona, jak człowiek tchu nabiera w płuca...

W pełnym blasku wyraźnie ją widzę
I dziwię się, że taka wszechwładna
Ta kropelka na kwiatów łodydze,
Taka mała, taka mała, taka ładna...

Fascynuje jak łza w oku
I perli się na łąk dywanie,
Rzeźbi skały co dnia i co roku,
Stwarza płynów dziwne powiązanie...

Taka mała, taka mała, a zrywa
Wielkie mosty nad rzeką wiszące,
Wreszcie w morza przepastną głąb wpływa
ponad statki zatopione, milczące...

Zaborcze, pow. Mielec

JAN POCEK

sięgną

kiedyś w dzieciństwie kołyska moja
z nieheblowanych desek sosnowych
zbierała ciszę jak kłosy w polach
kucie dzięcioła i szum dąbrowy

więc dziś z jaśminów i gryk najbielszych
z pszczelej muzyki z zieleni drzewa
biorę swe słowa do prostych wierszy
kiedy o tobie — ziemio ma — śpiewam

a gdy już wierszy nie będą pisał
to jeszcze czasem me dłonie z grobu
sięgną na pola po kłosy żyta
po kwiaty mleczu nad polną drogą.

Kaleń, pow. Puławy